

"Romeo i Julia"  
S. Baranowski

SUENAMUSZ

100/1366

## Prolog

CHÓR

Dwa równie stare i szlachetne rody  
W Weronie, gdzie się rozgrywa ta sztuka,  
Wskrzeszają zamęt przycichłej niezgody:  
Znów w czas pokoju krew chodniki bruka.  
Gdy w sercach ojców nienawiść szaleje,  
Dzieciom, wiedzionym przez los ku zagładzie,  
Miłość podsuwa daremną nadzieję —  
Śmierć ich dopiero koniec waśniom kładzie.  
Miłość, skazana na śmierć przez nienawiść,  
Której szął ciemny gubił dwie rodziny,  
Aż śmierć jedynie mogła je wybawić:  
Taką historię widz przez dwie godziny  
Oglądać będzie tu, na naszej scenie;  
Może uroni łzę na zakończenie.

## Scena pierwsza

*Ulica w Weronie. Wchodzą Samson i Grzegorz, służący domu Capulettich, uzbrojeni w krótkie mieczyki i tarcze.*

SAMSON

Pytam się, Grzegorzu, jeszcze raz: czy mamy bez końca znosić obrazy?

GRZEGORZ

Ano, chyba nie: w końcu nie jesteśmy nosicielami obrazów.

SAMSON

Nie obrazów, tylko obraz. „Ta obraza”, nie „ten obraz” — rozumiesz wreszcie? Nie damy się obrażać — to chciałem powiedzieć. Na próbę obrażenia nas odpowiemy podnosząc broń.

GRZEGORZ

I odnosząc obrażenia.

SAMSON

A co mi tam! Ja zawsze dobywam miecza, kiedy mnie kto zaczepi.

GRZEGORZ

Chyba że miecz ci się o coś zaczepi.

SAMSON

Każdy z tych psów z domu Montecchich działa mi na nerwy.

GRZEGORZ

I z tego zdenerwowania zmykasz jak najdalej.

SAMSON

Nie, co najwyżej wyniośle przechodzę na drugą stronę ulicy. Ale jeśli kiedyś naprawdę się zdenerwuję, dojdzie do strasznej rzezi. Nie przepuszczę żadnemu z nich — ani mężczyźnie, ani kobiecie.

GRZEGORZ

Zwłaszcza twoje zmagania z kobietami mogą być naprawdę strasznym widowiskiem.

SAMSON

A jakże. Mężczyźni będą padali od cięć mego miecza, a kobiety będą padały jak ścięte na sam mój widok.

GRZEGORZ

O czym my w ogóle mówimy? W tej całej waśni biorą udział tylko nasi panowie i my, ich ludzie.

SAMSON

Kobiety też ludzie. W niczym ich nie pokrzywdzę — będę wobec nich równie nieubłagany. Kiedy już powalę mężczyzn, zabiorę się do powalania kobiet.

GRZEGORZ

Zadbaj chociaż o to, żeby padały na coś miękkiego.

SAMSON

Jakieś łóżko na przykład.

GRZEGORZ

Właśnie. Z kobietami trzeba delikatnie. One też coś z tego muszą mieć.

SAMSON

Już ja się postaram, żeby miały. W łóżku robi się ze mnie zupełnie zwierzę.

GRZEGORZ

Szkoda, że nie ma wtedy jakiejś kobiety przy tobie. Ale wyciągnij no swoje narzędzie — widzę dwóch ludzi z domu Montecchich.

*Wchodzą Abraham i Baltazar.*

SAMSON

Miecz dobyty. Zaczep ich; ja będę ubezpieczał tyły.

GRZEGORZ

Żeby podać tyły dla własnego bezpieczeństwa?

SAMSON

O mnie się nie bój.

GRZEGORZ

Bać się o ciebie? Jeszcze mi tego do szczęścia brakowało.

SAMSON

Urządźmy to tak, żeby prawo było po naszej stronie: niech oni złączą.

GRZEGORZ

Wykrzywię się na nich, kiedy będziemy się mijali, i niech to sobie tłumaczą, jak zechcą.

SAMSON

Nie jak zechcą, ale jak się ośmielą. A ja im zagram na nosie; hańba im, jeśli ścierpią tę zniewagę.

ABRAHAM

Czy szanowny pan gra nam na nosie?

SAMSON

A owszem, szanowny pan gra na nosie.

ABRAHAM

Ale czy szanowny pan gra nam na nosie?

SAMSON *na stronie do Grzegorza*

Czy prawo będzie po naszej stronie, jeśli przytaknę?

GRZEGORZ *na stronie do Samsona*

Nie.

SAMSON

Nie, szanowny panie, nie gram wam na nosie, gram sobie na nosie.

GRZEGORZ

Czy szanowny pan szuka zaczepki?

ABRAHAM

Zaczepki? Nie, drogi panie.

SAMSON

Bo jeśli tak, to jestem na usługi drogiego pana. Mój pan nie gorszy niż wasz.

ABRAHAM

I nie lepszy.

SAMSON

Dajmy na to.

*Wchodzi Benvolio.*

GRZEGORZ *na stronie do Samsona*

Powiedz: „lepszy”. Patrz, idzie tu jeden z krewnych naszego pana.

SAMSON

Właśnie, że lepszy!

ABRAHAM

Kłamiesz.

SAMSON

Chwytajcie za broń, jeśli macie w sobie choć trochę ikry. Grzegorz, przypomnij sobie jakieś solidne cięcie.

*Walczą.*

BENVOLIO

Odstąpcie, głupcy, i schowajcie miecze!  
Sami nie wiecie chyba, co robicie.

*Wchodzi Tybalt.*

TYBALT

Cóż to — ty pośród tchórzliwych fagasów?  
Spójrz tu, Benvolio — w oczy swojej śmierci.

BENVOLIO

Przywracam tylko pokój. Schowaj rapier,  
Albo wraz ze mną rozdziel nim tych ludzi.

TYBALT

Broń w ręku, a ty mówisz o pokoju?  
Nie, słowem „pokój” brzydzę się tak samo  
Jak piekłem, rodem Montecchich, i tobą.  
Stawaj, ty tchórze!

*Walczą. Wchodzi Oficer na czele kilku Mieszczan uzbrojonych w pałki i halabardy.*

OFICER

Chwytajcie za pałki  
I halabardy! Przyłóżć im zdrowo!

MIESZCZANIE

Precz z Montecchimi! Precz z Capulettimi!

*Wchodzi stary Capuletti w długiej szacie i Pani Capuletti.*

CAPULETTI

Co to za hałas? Hej, dać mi tu rapier!

PANI CAPULETTI

Laski ci raczej trzeba: ledwie chodzisz.

CAPULETTI

Rapier, powiadam! Ten ramol Montecchi  
Przywłókł się i wywija mi przed nosem  
Swoim szpikulcem.

*Wchodzi stary Montecchi z Panią Montecchi.*

MONTECCHI

Ten zbir Capuletti! —  
Puść mnie, kobieto.

PANI MONTECCHI

Na krok cię nie puszczę;  
Nie będziesz mi się wdawał w bijatyki.

*Wchodzi Księżę Escalus z orszakiem.*

KSIĄŻĘ

Hardzi poddani, wrogowie pokoju,  
Nie profanujcie stali krwią bliźniego!  
Słyszycie, ludzie? — nie, raczej zwierzęta!  
~~Czyż wy musicie ogień zgubnej furii  
Gasić purpurą tryskającą z żył?  
Pod groźbą karni macie mi natychmiast  
Wypuścić z krwawej dłoni źle użytą  
Bronń i wysłuchać spokojnie, co powie  
Wasz poruszony do żywego książe.~~  
Od czasu, kiedy stary Capuletti  
Z Montecchim o coś tam się przemówili,  
Trzy burdy między waszymi domami  
Zdążyły wzniecić w mieście niepokoje.



Doszło do tego, że nawet sędziwi  
Obywatele Werony musieli  
Zamiast stosownych do ich wieku strojów  
Przywdziać mundury ochotniczej straży:  
Starcza dłoń ściska drzewce halabardy,  
Która, od dawna rdzą pokoju zżarta,  
Dziś was rozdziela, zżartych nienawiścią.  
Jeśli ktoś jeszcze raz zakłóci spokój  
Ulic Werony — przypłaci to życiem.  
A teraz niechaj wszyscy się rozejdą.  
Ty, Capuletti, pójdiesz ze mną, ciebie,  
Montecchi, pragnę widzieć po południu  
W sali posiedzeń — tam cię powiadomię  
O moich dalszych decyzjach w tej sprawie.  
Raz jeszcze żądam od wszystkich obecnych  
Pod groźbą śmierci, aby się rozeszli.

*Wychodzą wszyscy prócz Montecchiego, Pani Montecchi i Benvolia.*

MONTECCHI

Kto znów rozniecił ten przygasły spór?  
Powiedz, bratanku: widziałeś, kto zaczął?

BENVOLIO

Kiedy się tu zjawiłem, twoi ludzie  
Stali gotowi do bitki z sługami  
Naszego wroga. Aby ich rozdzielić,  
Dobyłem broni. W tym momencie wbiegł  
Z rapierem w dłoni rozwścieczony Tybalt:  
Sparzył mi ucho ognistym wyzwaniem  
I jął wywijać bronią, tnąc powietrze,  
Które na każdy bezskuteczny zamach  
Odpowiadało mu szyderczym świstem.  
Ledwie zdążyliśmy skrzyżować ostrza,  
Zbiegli się inni — i jedni z drugimi  
Zaczęli walczyć, aż jednych i drugich  
Rozdzielił Książę, który w końcu nadszedł.

PANI MONTECCHI

A gdzie Romeo? Widziałeś go dzisiaj?  
Dobrze, że nie wziął udziału w tej bójce.

BENVOLIO

Godzinę przedtem, zanim boskie słońce  
Twarz pokazało w złotym oknie Wschodu,  
Bezsensowność z łóżka wywlokła mnie na dwór;  
Gdy przechadzałem się w sykomorowym  
Gaju rosnącym na zachód od miasta,  
Spostrzegłem w dali, mimo wczesnej pory,  
Waszego syna. Chciałem nawet podejść,  
Lecz na mój widok skrył się w leśnym gąszczu.  
Pojmując jego stan ducha — bo sam  
Łaknąłem w owej chwili samotności,  
Zmęczony ludźmi włącznie z samym sobą —  
Zamiast iść za nim, ruszyłem przed siebie,  
Rad, że nie muszę narzucać się komuś,  
Kto nie ma wielkiej ochoty mnie spotkać.

MONTECCHI

Nieraz o świcie już go tam widziano,  
Jak łąką pomnażał krople świeżej rosy  
I westchnieniami spulchniał biel obłoków.  
Lecz skoro tylko na krawędzi Wschodu  
Ochocze słońce zaczyna rozchyłać  
Zasłony cienia nad łóżem Aurory,  
Syn mój posępny ucieka przed światłem,  
Zamyka się na cały dzień w komnacie,  
Zasłania okna i nie wpuszcza nawet  
Promyka, tworząc sobie sztuczną noc.  
Na melancholię jest jedno jedyne  
Pewne lekarstwo: usunąć przyczynę.

BENVOLIO

A czy wiesz, co jest tą przyczyną, stryju?

MONTECCHI

Nie wiem; Romeo nie chce mi jej zdradzić.

BENVOLIO

Ale starałeś się go wysondować?

MONTECCHI

I ja, i różni jego przyjaciele;  
Lecz on, jedyny powiernik swych trosk,  
Zamyka w sobie — nie wiem, co właściwie,  
Jednak zamyka coś na cztery spusty,  
Oporny wobec pytań i dociekań.  
To tak, jak gdyby był pąkiem, od wewnątrz  
Zżartym przez czerwia, nim zdążył rozchylić  
Płatki i czar swój ofiarować słońcu.  
Gdybym mógł wiedzieć, nad czym tak boleje —  
Znalazłbym lek i odzyskał nadzieję.

*Wchodzi Romeo.*

BENVOLIO

O, idzie. Może mi wyzna tajemną  
Przyczynę smutku; zostawcie go ze mną.

MONTECCHI

Dość już tą sprawą jesteśmy stroskani;  
Dowiedz się czegoś, proszę. Pójdźmy, pani.

*Montecchi i Pani Montecchi wychodzą.*

BENVOLIO

Witaj, kuzynie; o tak wczesnej porze  
Na nogach?

ROMEO

Wczesnej? Jeszcze nie południe?

BENVOLIO

Biła dopiero dziewiąta.

ROMEO

W zgryzocie

Godziny wloką się dłużej. Ten człowiek,  
Który tak śpiesznie znikł — czy to mój ojciec?

BENVOLIO

Tak. Ale przez co tak ci się czas dłuży?

ROMEO

Przez to, że nie mam tego, co go skraca.

BENVOLIO

A więc to miłość winna?

ROMEO

Nie, jej brak.

BENVOLIO

W tobie?

ROMEO

Nie, w sercu tej, w której się kocham.

BENVOLIO

Niestety, miłość, choć niby ponętna,  
Srogie na sercu wypala nam piętna!

ROMEO

I choć przepaska oczy jej przesłania,  
Ofiar dopada bez chwili wahania! —  
Zjemy gdzieś obiad? A co to za bójka  
Tu się odbyła? Nie mów — wiem już wszystko.  
Winna nienawiść; jeszcze bardziej — miłość.  
Tyle sprzeczności duszę mi rozrywa:  
Niechętna miłość i nienawiść tkliwa,

Coś narodzone z niczego, foremny  
Sens obrócony w wir chaosu ciemny,  
Ciężar marności i piórko z ołowiu,  
Głód wśród przesytu i choroba w zdrowiu,  
Jasny dym, mroźny ogień, sen na jawie,  
Błoga niedola — sam już nie wiem prawie,  
Jaką przywołać sprzeczność i zawilość,  
By odmalować tę miłość–niemiłość.  
Ty się nie śmiejesz?

BENVOLIO

Prędzej bym zapłakał.

ROMEO

Nad czym?

BENVOLIO

Nad strzałą, która ci przeszywa  
Serce.

ROMEO

Tak, miłość jest jak zaraźliwa  
Choroba: smutek, co serce mi nęka,  
Ciebie zasmuca i moja udręka  
Z tego powodu rośnie dodatkowo:  
Współczucie staje mi się męką nową.  
Miłość to opar westchnienia: ulotny,  
Lecz ciężki; płomień spojrzenia: zalotny,  
Ale palący; morze łez: choć czyste,  
Jednak bezdenne. Miłość jest zaiste  
Dławiącą żółcią i zbawczym balsamem,  
Jest metodycznym szalem — wciąż tym samym  
I wciąż rosnącym. Bywaj zdrów, kuzynie.

BENVOLIO

Jeśli odejdiesz, wyrządzisz jedynie  
Krzywdę przyjaźni. Pozwól, pójdę z tobą.

ROMEO

Lecz mnie tu nie ma, nie jestem osobą  
Tą, którą znalazłeś. To nie ja. Prawdziwa  
Postać Romea gdzie indziej przebywa.

BENVOLIO

Bądź sobie smutny, lecz mów: w kim się kochasz?

ROMEO

Mam odpowiedzieć jękiem?

BENVOLIO

Nie, broń Boże;  
Powiedz po prostu — serio, lecz bez jęków.

ROMEO

To tak, jak gdybyś rozkazał choremu  
Pisać „po prostu” testament. Ach, czemu  
Zatruwasz resztkę mych dni na tym świecie?  
No cóż, „po prostu”: kocham się w kobiecie.

BENVOLIO

Tego mniej więcej mogłem się domyślać.

ROMEO

Bardzoś domyślny. Dodam, że jest piękna.

BENVOLIO

To także jakoś mnie nie zaskakuje.

ROMEO

Zaskoczy cię więc, że mój ubóstwiany  
Skarb ma naturę nie Wenus, lecz Diany:  
Strzała Amora bezsilnie uderza  
W jej pierś cnotliwą, twardszą od pancerza.  
Czy obleżona przez moje zaklęcia,  
Czy szturmowana płomiennym spojrzeniem,

Czy wreszcie złotem kuszona wszechwładnym —  
Wciąż stawia opór. O tak, jest bogata  
We wdzięki; ale zejdzie z tego świata  
Biedna, bo podczas gdy wdzięków mi skąpi,  
Ich czar nietrwały z nią do grobu zstąpi.

BENVOLIO

Więc ślubowała, że zachowa cnotę?

ROMEO

Tak, chce oszczędzić swoje skarby złote,  
Lecz je w ten sposób właśnie marnotrawi:  
Wdzięków potomnym przecież nie zostawi.  
Dziwne: tak podłe zadając katusze,  
Liczy, że wpuszczą do nieba jej duszę!  
Przysięgła w życiu nie oddać mi serca,  
A mnie to „w życiu” za życia uśmierca.

BENVOLIO

Posłuchaj rady: przestań o niej myśleć.

ROMEO

Mam przestać o niej myśleć! W jaki sposób?

BENVOLIO

Daj oczom więcej swobody: niech czasem  
Spoczną na innych wdziękach.

ROMEO

To najlepsza

Metoda, aby wciąż o niej pamiętać.  
Damy na twarzach noszą czarne maski,  
Aby przez kontrast przywodzić nam na myśl  
Blaski ukrytej pod nimi urody.  
Ktoś, kto postradał wzrok, w wiecznych ciemnościach  
Widzi tym jaśniej, jaki skarb utracił.  
Pokaż mi panią najpiękniejszą z pięknych:

Dla mnie jej piękność będzie memorandum,  
W którym wyczytam, że jest przecież pani  
Jeszcze piękniejsza. Bywaj zdrow, Benvolio,  
Niezbyt praktyczną radzisz mi metodę.

BENVOLIO

Jej praktyczności w praktyce dowiodę...

*Wychodzą.*



## Scena druga

*Ulica w Wenecji. Wchodzą Capuletti, Parys i Sługa.*

CAPULETTI

Montecchi zresztą też pod groźbą kary  
Przyrzekł, że będzie unikał awantur.  
Starcom jak my nie sprawi to trudności.

PARYS

Obaj cieszyć się równym szacunkiem  
I szkoda, że ta waśń pomiędzy wami  
Trwa od tak dawna. Ale wróćmy może  
Do sprawy moich starań o twą córkę.

CAPULETTI

Mogę powtórzyć to, co już słyszałeś:  
To jeszcze dziecko nieobyte w świecie —  
Czternastu lat nie skończyła. Niech minie  
Lato i drugie niech przyjdzie po wiosnie:  
Dopiero wtedy do ślubu dorośnie.

PARYS

Przecież i młodsze bywają matkami.

CAPULETTI

I macierzyństwo odbiera im młodość.  
Moje nadzieje, moje inne dzieci  
Co do jednego pochłonęła ziemia:  
Jedyną moją nadzieją na ziemi  
Jest teraz Julia. Ale o jej serce  
Sam musisz walczyć: jej decyzja bowiem  
Jest istotniejsza niż to, co ja powiem.  
Gdy ona powie „tak”, ojciec z uśmiechem  
Przywτήσει zgodzie jednobrzmiącym echem.

Dziś wieczór — jak to często mi się zdarza —  
 Wystąpię w domu w roli gospodarza  
 Tłumnego balu; pośród gości wielu  
 Będziesz najmilszym, młody przyjacielu.  
 W skromnym domostwie mrok wieczornej pory  
 Rozjaśnią dzisiaj ziemskie gwiazdozbiory:  
 Iskry w dziewczęcych oczach. Tak jak wtedy,  
 Gdy po miesiącach szarej, zimnej biedy  
 Zieleń wystrzela i ziemię uświetnia  
 Nagłym olśnieniem rozkosznego kwietnia,  
 Tryskającego wonią i kolorem —  
 Tak będziesz czuł się u nas dziś wieczorem.  
 Przyjdź, patrz, wybieraj z tej łąki dziewczęcej  
 Kwiat, który ci się spodoba najwięcej:  
 Ujrzysz ich tyle, i takiej urody,  
 Że może uznasz, iż mój kwiatek młody,  
 Choć jest w ich liczbie, nie liczy się wcale.  
 Chodźmy więc.

*Do Sługi, wręczając mu papier:*

Rusz się, leniwy bęcwale,  
 Obejdź Weronę — tylko pośpiesz mi się —  
 Znajdź wszystkich, którzy figurują w spisie,  
 I mów każdemu, że rodzina nasza  
 Na bal wieczorem uprzejmie zaprasza.

*Capuletti i Parys wychodzą.*

SŁUGA

Znaleźć wszystkich, którzy figurują w spisie? Ja to sobie  
 figuruję, że szewc powinien pilnować łokcia, krawiec  
 kopyta, malarz więcierza, a rybak pędzla. A tu, patrzcie:  
 każą mi znaleźć wszystkich spisanych w spisie, kiedy ja  
 nawet nie potrafię przeczytać nazwisk tych spisanych,  
 co to ich spisywacz w spisie spisał. Trzeba mi znaleźć  
 kogoś uczonego. O, w samą porę!

*Wchodzą Benvolio i Romeo.*

BENVOLIO

Mówię ci, klin wybijesz, wbijając klin nowy;  
Pożar wypali się, gdy drugi rozgorzeje;  
Kręcąc się w drugą stronę, przegnasz zawrót głowy;  
Uśmierzysz żal, wpadając w inną beznadzieję.  
Tak też oko, gdy nowy widok w nim się zjawi,  
Zapomni o tym pyłku, od którego łzawi.

ROMEO

Dobrze jest na to przyłożyć liść babki.

BENVOLIO

Na co, przepraszam?

ROMEO

Na złamaną goleń,  
Którą za chwilę chętnie cię obdarzę.

BENVOLIO

Nie jesteś chyba wściekły na mnie?

ROMEO

Wściekły?

Nie, choć jak furiat mam związane ręce,  
Siedzę w ciemnościach lochu, wygłodniały,  
Chłostany, łzony... Witaj, przyjacielu.

SŁUGA

Kłaniam się. Pan szanowny umie czytać?

ROMEO

Niestety: umiem w mojej nędznej doli  
Czytać wyroki złowrózbnego losu.

SŁUGA

Takiego czytania to się można nauczyć i bez książki. Ja się pytam, czy pan umie czytać, co stoi napisane.

ROMEO

Jeśli znam język i alfabet — owszem.

SŁUGA

Żartuj pan sobie dalej. Do widzenia.

ROMEO

Czekaj no, przyjacielu; umiem czytać.

*Czyta:*

„Signior Martino z małżonką i córkami;  
Hrabia Anselmo i jego piękne siostry;  
Wdowa po signiorze Vitruvio;  
Signior Placencjo i jego urocze siostrzenice;  
Merkucjo i jego brat Walentyn;  
Stryj Capuletti z małżonką i córkami;  
Rozalina i Liwia, moje śliczne siostrzenice;  
Signior Walencjo i jego kuzyn Tybalt;  
Lucjo i urodziwa Helena.”

Wspaniałe grono. Dokąd mają przyjść?

SŁUGA

A do domu.

ROMEO

Ale gdzie to jest?

SŁUGA

A u nas.

ROMEO

Ale czyj to dom?

SŁUGA

A mojego pana.

ROMEO

Trzeba mi było spytać wpierw o niego.

SŁUGA

Teraz to ja mogę powiedzieć bez pytania. Mój pan to ten wielki bogacz Capuletti; jeśli tylko nie jesteście z domu Montecchich, zapraszam was do niego dziś wieczór na kieliszek wina. Bawcie się dobrze.

*Wychodzi.*

BENVOLIO

O, właśnie: na tym tradycyjnym balu  
U Capulettich będzie Rozalina,  
Twoje bożyszczce — a z nią cały tłum  
Sławnych z piękności mieszkanek Werony.  
Radzę ci, idź tam, i bezstronnym okiem  
Ujrzyj jej twarz, na takie tło rzuconą:  
Ręcę, że łabędź wyda ci się wroną.

ROMEO

Jeśli religia moich źrenic wykorzysta  
Tę okazję, by krzewić fałsz, niech łaza się zmieni  
W ogień i niechaj oczu herezja przejrzysta  
Ginie nie w łoż topieli, lecz w morzu płomieni!  
Któraś ma być piękniejsza od niej? Nigdy słońce  
Nie widziało podobnej, choć jest wszechwidzące!

BENVOLIO

Eee! Była piękna, bo w miłosnym szale  
Tylko ją kładłeś na obydwie szale  
Oczu; dziś użyj tej wagi z kryształu  
Dla porównania twego ideału

Z inną pięknnością; gdy ci ją pokażę —  
Tej innej zaczniesz budować ołtarze.

ROMEO

Pójdę tam — po to, by jedno jedyne  
Oglądać bóstwo: moją Rozalinę.

*Wychodzą.*

## Scena trzecia

*Pokój w domu Capulettich. Wchodzą Pani Capuletti i Marta.*

PANI CAPULETTI

Gdzie moja córka? Czemu jej nie wołasz?

MARTA

Wołałam — jak mi własna cnota miła:  
To znaczy, cnota, której strzegłam pilnie  
Aż do dwunastej wiosny życia. Julciu!  
Złotko! Gdzie jesteś? No, gdzież ta dziewczyna?

*Wchodzi Julia.*

JULIA

Czy ktoś mnie wołał?

MARTA

Pani matka.

JULIA

Jestem.

Słucham cię, matko.

PANI CAPULETTI

Chodzi mi o sprawę...  
Marto, ty odejdz; muszę z nią pomówić  
Sam na sam. Czeka, Marto, lepiej zostań;  
Przyszło mi na myśl, że możesz się przydać.  
Wiesz, w jakim wieku jest Julia.

MARTA

A jakże,  
Mogłabym podać go co do godziny.

PANI CAPULETTI

Już wkrótce skończy czternaście lat.

MARTA

Racja,

Czternaście własnych zębów stawiam w zakład  
(Chociaż, co prawda, mam ich tylko cztery),  
Że to już wkrótce. Kiedy będzie pierwszy  
Sierpnia?

PANI CAPULETTI

Zostały jeszcze z dwa tygodnie.

MARTA

Ile by ich tam było, dwa czy więcej,  
W wieczór przed pierwszym sierpnia Julcia skończy  
Równe czternaście. Obie z Zuzią (wieczne  
Odpooczywanie!) były w jednym wieku.  
Zuzia już teraz między aniołkami:  
Za dobre było dziecko dla mnie grzesznej.  
Ale, jak mówię, nasza Julcia w wieczór  
Przed pierwszym sierpnia skończy lat czternaście —  
Dobrze pamiętam. Jedenaście lat  
Minie niedługo od trzęsienia ziemi,  
A trzeba było trafu, że w ten dzień  
Właśnie od piersi była odstawiana:  
Tak, nie zapomnę tego, póki żyję.  
Jak dziś pamiętam: siedzę sobie w słońcu  
Pod gołębnikiem i nacieram pierś  
Piołunem. Państwo obydwójce wtedy  
Byli w Mantui: co, nie dobra pamięć?  
Więc, jak powiadam, gdy tylko poczuła  
Piołun na cycku, gdy się jej zrobiło  
Gorzko w niemądrej buzi — jak nie wrzaśnie,  
Jak się nie skrzywi, szarpnie precz od cycka!  
A tu gołębnik za plecami trzeszczy:



Trzęsienie ziemi! Nie trzeba mi było  
Dwa razy mówić: wiałam, gdzie pieprz rośnie.  
Odtąd minęło jedenastcie lat,  
Bo już umiała stać; nie, co ja mówię,  
Umiała chodzić i truchtać po domu.  
Dzień wcześniej tak latała, że upadła,  
Nabiła sobie guza; a mój mąż  
Nieboszczyk (to ci był wielki kawalarz,  
Świeć, Panie, jego duszy) podniósł małą  
I mówi: „Teraz”, mówi, „to na brzuszek,  
A jak zmadrzejesz, to padniesz na plecki,  
Co?”; a smarkuła, jak mi Pan Bóg miły,  
Przestaje beczeć i sepleni: „Dobzie”!  
Taki się dowcip udał maluchowi!  
Tysiąc lat mogę żyć, a nie zapomnę,  
Jak mąż ją pyta: „Co, na plecki padniesz?”,  
A ta połyka łzy i mówi: „Dobzie”!

PANI CAPULETTI

Dosyć już. Proszę, uciszze się wreszcie.

MARTA

Już nic nie mówię. Ale daję słowo,  
Płaczę ze śmiechu, gdy sobie przypomnę —  
Przestaje chlipać i powiada: „Dobzie”!  
A guz na czole ma jak kurze jajo —  
Stuknęła się porządnie i beczała,  
Jakby ją zarzynali; i mąż mówi:  
„Co, Julciu”, mówi, „teraz na twarz padłaś,  
A jak dorośniesz, upadniesz na wznak,  
Nieprawda, Julciu?”, a łobuziak mały  
Przestaje płakać i powiada: „Dobzie”!

JULIA

I ty też przestań, nianiu — bardzo proszę.

MARTA

Toć już przestałam. Pan Bóg z tobą, dziecko:  
Z wszystkich niemowląt, jakie wykarmiłam,  
Ty byłaś najśliczniejsza. Gdybym jeszcze  
Mogła zobaczyć cię w ślubnej sukience!

PANI CAPULETTI

O, właśnie: o tym chciałam z wami mówić.  
Powiedz mi, córko: chciałabyś wyjść za mąż?

JULIA

Nawet nie marzę o takim zaszczycie.

MARTA

„Zaszczycie”, mówisz? Nie, takiej mądrości  
Nie mogłaś wyssać z moim mlekiem, dziecko.

PANI CAPULETTI

Więc zacznij o tym myśleć. Tu, w Weronie,  
Młodsze od ciebie damy z dobrych domów  
Są już matkami. Jeśli się nie mylę,  
Ja sama stałam ci się matką w wieku,  
W którym wciąż jesteś panną. Powiem krótko:  
Parys ubiega się o twoją rękę.

MARTA

To ci kawaler! Nie znajdziesz lepszego  
Nigdzie — przystojny jak ta lalka z wosku!

PANI CAPULETTI

Rozkwitły bukiet, jakim jest Werona,  
Nie zna drugiego podobnego kwiatu.

MARTA

Co to, to prawda; kwiat jak malowany!

PANI CAPULETTI

I co ty na to? Czujesz coś do niego?  
Dziś wieczór ujrzysz go na naszym balu.  
Wczytaj się w księgę jego twarzy młodej,  
W którą wpisana jest piórem urody  
Zapowiedź szczęścia; dostrzeż w każdym rysie  
Harmonię, której zaznasz przy Parysie;  
Zrozum, co mówi ci ten tekst proroczy,  
A zwłaszcza fragment najważniejszy: oczy.  
Ten chłopiec jest jak tom nieoprawiony,  
Któremu trzeba obwoluty: żony.  
Jak obłok niebem, młodzieniec ma prawo  
Podkreślić walor swój cenną oprawą;  
Mężczyzna jest to księga, której treści  
Pięknieją, kiedy je uścisk niewieści  
Obejmie niczym dwie złote okładki.  
Kiedy w małżonku posiadasz skarb rzadki,  
Własny twój wymiar wzrośnie w krótkim czasie.

MARTA

Oj tak, od chłopca rośnie obwód w pasie.

PANI CAPULETTI

Mów więc: co sądzisz o młodym Parysie?

JULIA

Cóż, matko, sędzę, że spodoba mi się:  
Muszę się przyjrzeć — tak, aby nikt o mnie  
Źle nie pomyślał: uważnie, lecz skromnie.

*Wchodzi Sługa.*

SŁUGA

Pani, gości już pełno, stół zastawiony, czekają na panią,  
pytają o pannę Julię, w kuchni przeklinają Martę, że nie  
pomaga, zupełne urwanie głowy. Niech się wielmożne  
panie raczą pośpieszyć.

PANI CAPULETTI

Idziemy.

*Stuga wychodzi.*

Julio, bądź dla niego miła.  
Znajdziesz po temu środki odpowiednie.

MARTA

Znajdź, dziecko, szczęście — tak w nocy, jak we dnie!

*Wychodzą.*

## Scena czwarta

*Ulica przed domem Capulettich. Wchodzą Romeo, Merkucjo, Benvolio i pięciu lub sześciu innych Gości w maskach oraz ich eskorta z pochodniami.*

ROMEO

Więc co przy wejściu — wygłaszamy mowę  
Czy pakujemy się bez ceregieli?

BENVOLIO

Te przebieranki i mowy na progu  
To zwyczaj, który dawno wyszedł z mody.  
~~Po co nam Amor z przepaską na oczach,  
Z tatarskim łukiem z kawałka deszczułki —  
Żeby jak strach na wróble płoszył damy?  
I po co mamy wykuwać na pamięć  
Oracje — żeby je potem przy wejściu  
Dukać niezdarnie z pomocą suflera?~~  
Niech sobie myślą, co zechcą: wchodzimy,  
Tańczymy raz czy dwa i już nas nie ma.

ROMEO

Tańczcie beze mnie. Nie mam dziś nastroju  
Do tych podskoków. Ciężko mi na duszy.

MERKUCJO

Jak to, bal przecież — zatańcz chociaż raz!

ROMEO

Nie, nie. Was same podeszwy już niosą  
Do tańca — mnie zaś ołowiane serce  
Ciągnie ku ziemi jak przemożny balast.

MERKUCJO

Przecież się kochasz — pożycz od Amora  
Skrzydeł i wzbij się, bracie, nad poziomy.

ROMEO

Na nic mi jego lotne pióra, skoro  
Lotniejszą strzałą przybił mnie do ziemi.

Nie mogę wzbić się nad ten płaski świat:  
Przygniótł mnie ciężar nie odwzajemnionej  
Miłości.

MERKUCJO

Dobrze, że ciebie przygniotło,  
A nie odwrotnie; bo odwzajemniony  
W swoich zapędach, sam byś — jak znam życie —  
Przygniótł panienkę bez opamiętania.  
W miłości trzeba powoli, z wyczuciem.

ROMEO

A sama miłość — czy czuje cokolwiek?  
Nie, jest nieczuła, szorstka, opryskliwa.  
Kłuje jak cierni, podstępnie zwala z nóg.

MERKUCJO

A, jeśli zwala, to i ty ją powal,  
Jeżeli kłuje i ty wbij w nią kolec.  
Gdzie moja maska? Zastonę facjatę  
Jak parawanem i żadne ciekawskie  
Okno nie dojrzy, że mam krzywą gębę.  
To maska będzie się za mnie rumienić.

BENVOLIO

Dalej, pukajmy; i gdy nam otworzą,  
Zaraz od progu ruszajmy do tańca.

ROMEO

Dajcie pochodnię. Pięty lekkoduchów  
Niech sobie łechcą nieczułą posadzkę;  
Ja będę jak ten pacholek z przysłowia,  
Co trzymał lichtarz i stał na uboczu.  
Trudno się bawić, gdy serce się ściska.

MERKUCJO

Jedno ci tylko w głowie — teraz znowu  
Coś o ściskaniu! A niech cię drzwi ścisną!  
Chciałbyś się ściskać? Najpierw daj się wyżyć,

Bo unurzałeś się po uszy w bagnie  
Tej zafajdanej miłości. No dalej,  
Nie traćmy czasu, nie palmy świec w dzień!

ROMEO

Przecież jest wieczór. Już ciemno w tej chwili.

MERKUCJO

Mówię w przenośni: jakbyśmy palili  
W dzień świece, tak nam czas próżno upływa.  
A czas to pieniądz — oto myśl prawdziwa!  
Pięć razy więcej sensu w każdym z przysłów  
Niż w całej wiedzy naszych pięciu zmysłów.

ROMEO

Chcemy się bawić, lecz nie czas po temu;  
Lepiej nie wchodźmy.

MERKUCJO

A to niby czemu?

ROMEO

Miałem sen w nocy.

MERKUCJO

I mnie coś się śniło.

ROMEO

Co?

MERKUCJO

To, że śpiący lżą o snach, aż miło.  
Kto opowiada sen, zawsze upiększa.

ROMEO

Tak, ale w samych snach jest prawda większa;  
Zmyślamy potem, gdy wstaniemy z łóżek.

## MERKUCJO

Pewnie widziałeś Mab, królową wrózek?  
Wiesz, tę nie większą niż rzeźbiony agat  
Na wskazującym paluchu burmistrza,  
Tę, co to w nocy ujeżdża po nosach  
Śpiących, ciągniona w maleńkiej karecie,  
Która ma szprychy z długich nóg pajęczych,  
Dach — ze skrzydełek konika polnego,  
Lejce — z cieniutkich nitek pajęczyny,  
Uprząż — z wilgotnych promieni księżycy,  
Bicz — z włókienka lnu i kostki świerszcza;  
Cały jej zaprzęg to para komarów,  
Nie większa razem niż mucha z przysłowia —  
Wiesz, gdy się mówi: „on ma muchy w nosie”;  
Pudło karocy zaś to pusty w środku  
Orzech laskowy, wydrążony zgrabnie  
W leśnym warsztacie nadwornych stelmachów:  
Starego czerwia i rudej wiewiórki.  
W takim powozie królowa co noc  
Zwiedza galopem mózgi zakochanych,  
Którym się wtedy śni miłosa rozkosz;  
Muśnie też giętkie kolano dworaka,  
Który w śnie widzi dygi i ukłony;  
Dłoń adwokata, który zaraz marzy  
O honorariach; albo usta damy,  
Która natychmiast śni o pocałunkach —  
Chociaż królowa może ją pokarać  
Febrą na wardze, jeśli woń oddechu  
Zdradza, że śpiąca zbyt lubi słodyczne.  
Czasem królowa nawiedzi w podróży  
Nos urzędnika — ten zwęszy przez sen  
Zapach łąpówki; albo nos proboszcza  
Łechce skreślonym prosięcym ogonkiem,  
A księdzu śnią się nowe dziesięciny.  
Czasami znowu przemyka po karku  
Żołnierza: temu roją się fechtunki,  
Szturmy, zasadzki, podrzynanie gardeł,  
Puchary wina na sążeń głębokie;



Wtedy królowa zatrąbi mu w ucho —  
Bohater zrywa się i, przerażony,  
Klnie, zmawia pacierz i znowu zasypia.  
Tak, to ta sama królowa, co koniom  
Zaplata w nocy grzywy, a włos ludzki  
Zlepia w paskudny i plugawy kołtun,  
Który rozczesać — to pewne nieszczęście.  
To ona jest tą zmorą, która dusi  
Na wznak leżące dziewczęta, zawczasu  
Ucząc je sztuki znoszenia ciężaru,  
Której potrzeba, by stać się kobietą.  
To ona —

ROMEO

Dosyć już, dosyć, Merkucjo!  
Gadasz o niczym.

MERKUCJO

Tak, gadam o snach:  
A sny są dziećmi bezwolnego mózgu,  
Płodem niczego, czystej wyobraźni,  
Substancji zwiewnej jak samo powietrze  
I bardziej zmiennej niż kapryśny wiatr,  
Co, zniechęcony do chłodnej Północy,  
Rzuca się w ciepłe objęcia Południa.

BENVOLIO

Ten wiatr nas zwiewa z wytyczonej drogi.  
Wieczera czeka; spóźnimy się na nią.

ROMEO

Boję się, czy nie przyjdziemy za wcześnie;  
Bo moja dusza przeczuwa, że jakiś  
Łańcuch wydarzeń, wśród gwiazd jeszcze skryty,  
Będzie miał pierwsze złowrogie ogniwo  
W tym dniu, w dzisiejszej beztroskiej zabawie,  
I że mojemu nieznośnemu życiu  
Położy wkrótce kres przedwczesny zgon.

Niech Ten, kto dzierży ster mojego losu,  
Pilnuje kursu! Raz kozie śmierć — chodźmy!

BENVOLIO

Dalej, bić w bębny!

*Wchodzą do domu.*

## Scena piąta

*Wnętrze domu Capulettich. Wchodzą dwaj Słudzy.*

SŁUGA I

Gdzie Kocmołuch? Czemu nie pomaga sprzątać ze stołu? On by kiedy co sprzątnął! On by kiedy zgarnął resztki z talerza!

SŁUGA II

Co sobie goście pomyślą o tym domu? Ręk do pracy stale brakuje, a jeśli są, to brudne jak święta ziemia.

SŁUGA I

Wynieś te stołki, odsuń bufet, pozbieraj srebra! I zrób mi tę przyjemność: schowaj dla mnie kawałek marcepanu i szepnij odźwiernemu, żeby wpuścił Zuzię i Helkę.

*Sługa II wychodzi.*

**Antoni! Kocmołuch!**

*Wchodzą dwaj inni Słudzy.*

SŁUGA III

Czego się złościysz, już idziemy.

SŁUGA I

Szukają was, wołają was, pytają o was, potrzebują was — w sali balowej.

SŁUGA IV

Nie możemy być w dwóch miejscach naraz. Jak się człowiek śpieszy, to się diabeł cieszy. Zresztą my też mamy prawo się zabawić, nie, chłopaki?

*Słudzy III i IV wychodzą. Wchodzą Capuletti, Pani Capuletti, Julia, Tybalt, Marta oraz panowie i damy; z drugiej strony Romeo i inni w maskach.*

CAPULETTI

Witam, panowie! Zatańczycie zaraz  
 Z damami — tymi, które się nie boją  
 O swe nagniotki. No, śliczne panienki,  
 Nie odmawiajcie! Która się certuje,  
 Z pewnością ma odciski. Co? nieprawda?  
 Dalej, panowie! I ja także niegdyś  
 Wkładałem maskę, aby w uszka dziewcząt  
 Namiętniej szeptać słodkie banialuki.  
 Wszystko minęło, minęło, minęło!  
 Proszę, panowie! Muzykanci, grajcie.

*Muzyka; goście tańczą.*

Miejsca! rozstąpcie się! Panienki, śmiało!  
 Służba, dać więcej światła! wynieść stoły!  
 I zgasić ogień, bo się wszyscy zgrzali!  
 No, wreszcie nam się zabawa rozkręca!  
 Siadaj, kuzynie, siedźże, Capuletti,  
 Dla nas dwóch trochę za późno na pląsy.  
 Kiedy to wdzialiśmy po raz ostatni  
 Maski na twarze?

CAPULETTI II

Z trzydzieści lat temu.

CAPULETTI

Co ty powiadasz? Nie, nie aż tak dawno:  
 Pamiętasz przecież wesele Lucencja?  
 Na te Zielone Świątki, da Bóg dożyć,  
 Będzie dwadzieścia pięć lat.

CAPULETTI II

Więcej, więcej:  
 Jego synowi stuknęła trzydziestka.

CAPULETTI

A cóż ty pleciesz? Toż dwa lata temu  
 Synalek nie był jeszcze pełnoletni.

ROMEO *do Sługi*

Co to za dama tam tańczy, sprawiając  
Swoim urokiem nazbyt wielki honor  
Kawalerowi?

SŁUGA

Ja tam nie wiem, panie.

ROMEO

Światłość jej rysów gasi w moim oku  
Płomień pochodni! Lśni na skroni mroku  
Jak brylant w uchu etiopskiej królowej:  
~~Skarb zbyt bogaty na ten świat jałowy!~~  
~~Jak śnieżny gołąb wśród kawek, tak ona~~  
~~Odbija blaskiem od rówieśnic grona.~~  
~~Gdy przerwie taniec, przybliżę się do niej~~  
~~I dłoń ozłocę dotknięciem jej dłoni.~~  
Kochałem dotąd? Nie, serce się myli:  
Miłość poznało dopiero w tej chwili.

TYBALT

Sądząc po głosie — to któryś z Montecchich!  
Leć po mój rapier, chłopcze. Jak ten cham  
Śmie tu się wdzierać i grymasem maski  
Przedrzeźniać pełną godności zabawę?  
Na honor rodu — nie będzie to wcale  
Grzechem, jeżeli zuchwalca powalę!

CAPULETTI

Cóż to? zła mina zamiast myśli lekkich?

TYBALT

Stryju, jest tutaj jeden z nich, Montecchich;  
Na złość tu przyszedł, nikczemnik plugawy,  
Aby natrząsać się z naszej zabawy.

CAPULETTI

Młody Romeo?

TYBALT

Tak, ten łotr Romeo.

CAPULETTI

Drogi bratanku, zostaw go w spokoju.  
 Nie robi przecież nic nieprzystojnego  
~~I, prawdę mówiąc, znany jest w Weronie~~  
~~Jako porządny, pełen zalet chłopak.~~  
 Za żadne skarby nie zgodzę się, aby  
 Tu, w moim domu doznał jakiegś ujmy.  
 Zachowaj spokój, nie zważaj na niego.  
 Taka jest moja wola: ty się do niej  
 Zastosuj, ~~nie krzyw się, spędź z czoła chmurę,~~  
~~Niezbyt stosowną w czas dobrej zabawy.~~

TYBALT

Jest dość stosowna dla takiego gościa.  
 Nie mogę go tu ścierpieć.

CAPULETTI

Będziesz musiał.

Co, nie chcesz słuchać? Mówię ci, że musisz.  
 Kto tutaj rządzi? Chcesz się szarogęsić  
 W mym własnym domu? „Nie mogę go ścierpieć”,  
~~Słyszał kto kiedy!... Chcesz mi gości płoszyć,~~  
~~Kołki mi ciosać na głowie, smarkaczu?~~

TYBALT

Stryju, to przecież hańba.

CAPULETTI

Bądźże cicho!

Impertynencki szczeniak! Hańba, mówisz?  
 Uważaj, bo się sam haniebnie sparzysz.  
 Ja wiem, co robię. Że też musisz zawsze... —  
~~Pięknie tańczycie, brawo! — Awanturnik!~~  
~~Siedź cicho, bo cię... — Więcej światła, więcej! —~~  
~~Uspokój mi się zaraz! — Zwawo, dzieci!~~

TYBALT

Tama sztucznego spokoju przeszkodzi  
Żywiółom gniewu, ale do powodzi  
Tak czy siak dojdzie. Nie nalegam dłużej,  
Tym wścieklej jednak żółć się we mnie burzy.

*Wychodzi.*

ROMEO

Jeżeli profanuję nazbyt szorstką dłonią  
Świątynię twojej dłoni, grzech to jest olbrzymi:  
Zgładzi go czule para warg, które się płonią  
Z poczucia winy, jak dwaj nieśmiali pielgrzymi.

JULIA

Dobry pielgrzymie, nie ma w tym grzechu, gdy dłoni  
Inna dłoń ze czcią dotknie lub nawet ją trzyma:  
Są święci, przed którymi tłum wiernych się kłoni,  
I nie szkodzi, gdy ręk ich dotknie dłoń pielgrzyma.

ROMEO

Czyż święci ust nie mają, tak jak i pielgrzymi?

JULIA

Usta są im potrzebne, aby wznosić modły.

ROMEO

O, niech tych ust ustami dotknę spragnionymi:  
Gdy wiary z nich zaczerpnę, już mnie w raj przywiodły!

JULIA

Pierwszy krok musi zrobić grzesznik, a nie święty.

ROMEO

Nie ruszaj się więc, zanim kroku nie postąpię:  
Niech ust twoich dotknięcie z moich ust grzech zdejmie.

*Całuje ją.*

JULIA

Lecz teraz mam na ustach grzech, z twoich ust zdjęty.

ROMEO

O, ja ci rozgrzeszenia również nie poskąpię:  
Oddaj mi grzech z powrotem.

*Całuje ją.*

JULIA

Bardzo to uprzejmie...

MARTA

Panienko, matka prosi cię na stronę.

ROMEO

Któż jest jej matką?

MARTA

A to ci kawaler!

Nikt inny, tylko pani tego domu,  
I dobra pani, mądra i cnotliwa.  
Ja byłem niańką tej, coś tu z nią gadał.  
Mówię ci, niezły kąsek upoluje  
Ten, co ją złowi.

ROMEO

Więc jest z Capulettich?  
Co ja dobrego zrobiłem, na Boga:  
Oddałem własne życie w ręce wroga!

BENVOLIO

Chodźmy już; kończy się nasza swawola.

ROMEO

Za to zaczyna się moja niedola.

CAPULETTI

Ejże, panowie, dokąd wam tak śpieszno?  
Zaraz nam dadzą niewielką przekąskę —  
Musicie iść? Cóż, dzięki za wizytę.



Dzięki wam wszystkim, panowie. Dobranoc.  
Więcej pochodni! — I nam pora spać.  
Ha, w samej rzeczy, zrobiło się późno;  
Idę do łóżka.

*Wychodzą wszyscy prócz Julii i Marty.*

JULIA

Nianiu, chodź tutaj. Kim jest tamten pan?

MARTA

To syn starego Tyberia.

JULIA

Nie, tamten,  
Ten, który właśnie wychodzi.

MARTA

To będzie —  
Tak mi się widzi — młody pan Petruchio.

JULIA

Nie, nie: ten za nim — ten, co nie chciał tańczyć.

MARTA

A nie wiem.

JULIA

Dowiedz się, jak się nazywa. —  
Jeśli żonaty... nie, to być nie może:  
Wolę grób wtedy niż małżeńskie łóżko.

MARTA

Zwie się Romeo, jest z rodu Montecchich:  
Jednak waszych dawnych nieprzyjaciół.

JULIA

Więc kocham — wroga! O, słodycz bolesna,  
Szczęście zbyt późne, niedola zbyt wczesna!

Ledwie zrodzone, uczucie się wciela  
W to monstrum: miłość do nieprzyjaciela.

MARTA

Co, co to było?


JULIA

Nic, taka piosenka,  
Przez kogoś dzisiaj w tańcu zanucona.

*Wołanie zza sceny: „Julio!”*

MARTA

Zaraz! — No, chodźmy; zabawa skończona.



## AKT DRUGI

CHÓR

Jak prędko dawna namiętność przeminie,

Gdy nowa miłość z serca ją wypiera!

Gotów był życie oddać Rozalinie;

Spojrzał na Julię — z zachwyty umiera.

W dwu sercach rodzi się wzajemność błoga,

Lecz się nie złączą wyciągnięte ręce:

On wie, że kocha rzekomego wroga,

Ona — że szczęście wydrzeć musi męce.

Nieprzyjacielem nazwany — jak zdoła

Zbliżyć się do niej w czas waśni ponury?

A ona — dokąd i jak go przywoła

Przez nieprzyjaznych domów grube mury?

A jednak zejdą się, choć świat zabrania:

Cóż jest świat wobec słodczy kochania?

## Scena pierwsza

*Otoczony murem ogród Capulettich. Wchodzi Romeo.*

ROMEO

Pójść sobie? Serce i tak tu zostanie,  
Jak stały środek ruchomego globu.

*Wchodzą Benvolio i Merkucjo. Romeo ukrywa się w cieniu.*

BENVOLIO

Romeo! Hej, hej, kuzynie! Romeo!

MERKUCJO

Poszedł już pewnie spać i mądrze zrobił.

BENVOLIO

Nie, pobiegł tędy, przesadził ten mur.  
Wołaj!

MERKUCJO

Zakłębem go wezwę: Romeo!  
Łzawy amancie! namiętny wariacie!  
Ukaż się jako lotna mgła westchnienia,  
Szepnij choć wierszyk — już to mi wystarczy!  
Jęknij „O, biada!”, zrymuj „żał” i „dal”,  
Powiedz Wenerze — mam ją tu pod bokiem —  
Coś przyjemnego, daj nowy przydomek  
Jej synalkowi, najstarszemu z bogów  
I jednocześnie najmłodszemu z nich —  
Kupidynowi, który niedowidzi  
Lecz trafia w serca królów i żebraków!  
Nie słyszy; ani drgnie, ani co powie.  
Jak żuk na ścieżce, udaje, że zdechł;  
Muszę przywołać go innym zakłębem.  
Zaklinam cię na oczy Rozaliny,

Na gładkie czoło i czerwone usta,  
Na parę zgrabnych stópek, łydek, ud  
Z tajemniczymi ich przyległościami:  
Masz się ukazać we własnej postaci!

BENVOLIO

Jeśli cię słyszy, na pewno się gniewa.

MERKUCJO

Gniewać się miałby może prawo, gdybym  
W owe wspomniane wyżej przyległości,  
Niby w zaklęty krąg, wpuścił znieńcka  
Jakiegoś hardo sterczącego ducha,  
Którego tylko magia Rozaliny  
Zdołałaby nakłonić do zmięknienia.  
To byłyby, owszem, powód do urazy!  
Moje zakłęcie jest całkiem niewinne:  
Wzywam go tylko, w imię jego pani,  
By sam tu stanął — to jest, by się zjawił.

BENVOLIO

Daj spokój: ukrył się w głębi ogrodu,  
Wilgotnej nocy powierzając łzy.  
Miłość jest ślepa — ciemność jej nie szkodzi.

MERKUCJO

Jeśli jest ślepa, nie osiągnie celu.  
Jak go znam, usiadł pewnie gdzieś pod drzewkiem  
Moreli; patrzy na jego owoce  
I ma nieskromne myśli. Ten Romeo:  
Nawet morela mu się z czymś kojarzy!  
A gruszka pewnie z czymś całkiem przeciwnym.  
No nic, dobranoc. Łóżko na mnie czeka;  
Od zimnej trawy wolę własny siennik.  
Co, idziesz ze mną?

BENVOLIO

Idę; próżno szukać  
Kogoś, kto nie chce, by go znaleziono.

*Benvolio i Merkucjo wychodzą.*

## Scena druga

ROMEO *wychodząc z ukrycia*

Kpi z cudzej blizny, kto sam nie był ranny.

*W oknie na piętrze ukazuje się Julia.*

Cicho! Cóż to za światło błysło w oknie?  
To brzask na Wschodzie, a słońcem jest Julia!  
Wzejdź, słońce, przyćmij chorobliwie blady  
Księżyc! Patronka księżycyca i dziewic,  
Bogini Diana, szarzeje z zawiści  
Na widok twojej urody. Wypowiedz  
Jej posłuszeństwo, jeśli tak zazdrosna!  
Nie bądź potulną służebną, zrzuć suknie  
Jej anemicznej, ziemistej poświaty!  
To moja pani! moja ukochana!  
O, gdyby mogła wiedzieć, że nią jest!  
Mówi coś; nic nie słyhać. Lecz co z tego?  
Jej oczy mówią — oczom więc odpowiem.  
Zbyt śmiały jestem; mówią, lecz nie do mnie.  
Dwie najjaśniejsze gwiazdy w całym niebie,  
Mając gdzie indziej jakieś pilne sprawy,  
Znalazły sobie w jej oczach zastępców,  
Póki nie wrócą na swoje orbity.  
A gdyby zamieniły się miejscami,  
Gdyby to gwiazdy świeciły w jej twarzy?  
Jasność tej twarzy przyćmiłaby gwiazdy,  
Jak światło dzienne gasi światło lamp;  
Za to jej oczy w niebie takie blaski  
Słałyby poprzez powietrzne regiony,  
Że ptak, światłością niezwykłą zmylony,  
Śpiewałby w nocy. Oparła policzek  
Na dłoni! O, być jedną z rękawiczek  
Julii i dotknąć przez chwilę jej twarzy!

JULIA

Ach!

ROMEO

Słyszę: mówi coś. O, przemów znowu,  
Jasny aniele! bo świecisz nade mną  
Jak ci skrzydlaci wysłannicy niebios,  
Gdy na pokładzie ociążałych chmur  
Żeglują ponad głębiną powietrza  
I olśniewają zadziwione oczy  
Zadzierających głowy śmiertelników.

JULIA

Romeo! Czemuż ty jesteś Romeo?  
Wyrzecz się ojca i odrzuć nazwisko,  
Lub, jeśli nie chcesz, powiedz, że mnie kochasz,  
A ja wyrzeknę się swojego rodu.

~~ROMEO na stronie~~

~~Przemówić do niej czy też słuchać dalej?~~

JULIA

Tylko nazwisko twoje jest mi wrogiem.  
Ty jesteś sobą — nie żadnym Montecchim.  
Cóż jest Montecchi? To nie dłoń, nie stopa,  
Nie twarz, nie ramię — nie człowiecze ciało.  
O, zmień nazwisko, nazwij się inaczej!  
Cóż znaczy nazwa? To, co zwiemy różą,  
Pod inną nazwą nie mniej by pachniało.  
Tak i Romeo, gdyby się nazywał  
Inaczej, byłby wciąż tym samym cudem.  
Romeo, odrzuć nazwisko, a za ten  
Dźwięk, który nie jest nawet cząstką ciebie,  
Weźmiesz mnie całą.



ROMEO

Biorę cię za słowo.  
Nazwij mnie tylko swoim ukochanym:  
Ten nowy chrzest przekreśli dawne imię.

JULIA

Któż to śmiał wtargnąć pod osłoną nocy  
W moją samotność?

ROMEO

Aby odpowiedzieć,  
Musiałbym nazwać się, a nie wiem, jak.  
Moje nazwisko jest mi nienawistne,  
Bo ty, najświętsza, jesteś mu niechętna.  
Gdybym to słowo miał gdzieś napisane,  
Podarłbym je na strzępy!

JULIA

~~Moje uszy~~  
~~Nie spiły jeszcze stu słów z twoich ust,~~  
A już poznaję głos. To ty, Romeo?  
To ty, Montecchi?

ROMEO

Jeśli mi rozkażesz,  
Nie będę ani jednym, ani drugim.

JULIA

Powiedz mi, skąd się tu wzięłeś i po co?  
Jak się zdołałeś wspiąć na mur ogrodu?  
Czy nie rozumiesz, że jesteś zgubiony,  
Jeśli ktoś z moich krewnych tu cię znajdzie?

ROMEO

Nad mur wleciałem na skrzydłach miłości;  
Dla niej kamienne przegrody są niczym:

Jeśli je umie przekroczyć — przekracza.  
Żaden z twych krewnych też mnie nie powstrzyma.

JULIA

Zginiesz z ich ręki, jeśli cię spostrzegą.

ROMEO

Bardziej się lękam chłodu w twoich oczach  
Niż zimnych kling dwudziestu wrogich mieczy!  
~~Ciepłe spojrzenie starczy mi za pancerz.~~

JULIA

~~Oby cię tylko tutaj nie ujrzeli.~~

ROMEO

~~Płaszcz nocy przed ich wzrokiem mnie osłoni.  
Zresztą, jeżeli choć trochę mi sprzyjasz,  
Wydadaj mnie: lepsza już śmierć w walce z wrogiem,  
Niż usychanie bez twojej miłości.~~

JULIA

Jak tu trafiłeś? Kto ci wskazał drogę?

ROMEO

~~Miłość mnie wsparła zachętą i radą,  
A ja jej za to użyczyłem oczu.  
Choć żaden ze mnie nawigator, jednak  
Zaryzykowałbym rejs przez Pacyfik,  
Gdyby na drugim brzegu czekał skarb  
Taki jak ty.~~

JULIA

To szczęście, że na twarzy  
Mam maskę mroku: bo widziałbyś na niej  
Rumieniec wstydu za to, co słyszałeś  
Z moich ust. Rada bym wszystko odwołać,  
Przestrzegać form — lecz po co nam konwenans?

Czy ty mnie kochasz? Wiem, że powiesz „tak”,  
A ja uwierzę; a jednak przysięgi  
Czasem się łamie. Przysłowie powiada,  
Że wiarołomstwo kochanków rozśmiesza  
Jowisza w niebie. Romeo, najmilszy,  
Jeśli mnie kochasz, powiedz mi to szczerze.  
Jeżeli masz mnie za zbyt łatwy podbój,  
Zrobię wyniosłą minę i na złość  
Będę cię zmuszać do dalszych zalotów;  
Ale naprawdę nie mam na to chęci.  
Tak, jestem może dla ciebie zbyt czuła,  
Możesz pomyśleć, że się mało cenię;  
Lecz wierz mi — będę na pewno wierniejsza  
Od tych, co sprytniej umiejają się droczyć.  
Powinnam była trzymać cię na dystans,  
Przyznaję — ale i tak podsłuchałeś,  
Co sama sobie szeptałam o mojej  
Wielkiej miłości. Więc nie wiń mnie za to,  
Nie bierz za płochość tego, coś usłyszał  
Tylko dlatego, żeś podkradł się w mroku.

ROMEO

Julio, przysięgam na ten blask księżyca,  
Oprószający srebrem czubki drzew —

JULIA

Nie, nie przysięgaj na niestały księżyc,  
Który się zmienia od pełni do nowiu,  
Bo twoja miłość podobnie zmaleje.

ROMEO

Na co więc przysięść?

JULIA

Nie przysięgaj wcale;  
Albo przysięgnij na samego siebie,

Na boga mojej prywatnej religii —  
Wtedy uwierzę.

ROMEO

Jeśli moja miłość —

JULIA

Nie, nie przysięgaj. Choć mi z tobą dobrze,  
Niemile mi to nocne ślubowanie.

~~Zbyt jest pośpieszne, nierozważne, nagle —  
Jak błyskawica, która znika z nieba,  
Zanim się zdąży powiedzieć: „Błysnęło”.  
Dobranoc, miły! Oby pęk miłości,  
Ogrzany słońca opiekuńczym tchnieniem,  
Rozkwitł przy naszym następnym spotkaniu!  
Dobranoc! Gdy ja będę śnić, niech twoją  
Duszę te same słodkie sny ukoją!~~

ROMEO

A więc mam odejść ze swoim pragnieniem?

JULIA

A czegoż pragniesz?

ROMEO

Abyś moje śluby  
Odwzajemniła przysięgą miłości.

JULIA

Dałam ci słowo, zanim zażądałeś;  
Chciałabym teraz, żebyś mi je zwrócił.

ROMEO

Chcesz cofnąć słowo? Dlaczego, najdroższa?

JULIA

Bo chcę być szczodra i dać ci je znowu.  
A zresztą wcale go nie musisz zwracać:

Mam w sobie miłość głęboką jak morze  
~~I szczerść tak jak morze bezgraniczną;~~  
 Im więcej ci ich udzielam, tym więcej  
 Czuję ich w sercu, bo są nieskończone.  
 Ciszej, ktoś idzie. Bądź mi zdrow, najmiłszy!

*Zza sceny słycać wołanie Marty.*

Już idę! — Bądź mi wierny, mój Montecchi.  
~~Zostań tu jeszcze chwilę, zaraz wrócę.~~

*Znika we wnętrzu domu.*

ROMEO

~~Błogosławiona noc! Lecz właśnie, noc:  
 Czy to, co w niej się dzieje, nie jest tylko  
 Snem? Czy tak błogi czas może być jawą?~~

*Julia pojawia się znowu.*

JULIA

Trzy słówka — potem naprawdę dobranoc.  
 Jeśli masz wobec mnie godne zamiary,  
 Jeśli mnie chcesz za żonę — przyślę jutro  
 Posłańca, a ty przekaż mi przez niego,  
 Kiedy i gdzie chcesz dopełnić obrzędu;  
 A wtedy złożę los mój u twych stóp,  
 Gotowa iść za tobą na kraj świata.

MARTA *za sceną*

Panienko!

JULIA

Idę! — Lecz jeśli mnie zwodzisz,  
 Zaklinam cię —

MARTA *za sceną*

Panienko!

JULIA

Zaraz przyjdę! —  
Zaklinam, abys więcej nie przychodził,  
Abys dał mi się smucić w samotności.  
Pamiętaj — jutro.

ROMEO

Jak pragnę zbawienia —

JULIA

Raz jeszcze — dobrej nocy.

*Znika.*

ROMEO

Dobrej nocy?  
Noc nie jest dobra, gdy brak twego światła.  
Jak uczeń z lekcji zwolniony, wesoły —  
Tak tęskne serce rwie się do spotkania;  
Jak uczeń smętnie idący do szkoły —  
Tak zwleka, kiedy nadszedł czas rozstania.

*Julia pojawia się ponownie w oknie.*

JULIA

Pst! pst! Romeo! O, gdyby tak mieć  
Głos sokolnika i zwabić z powrotem  
Tego sokoła! W niewoli głos słabnie —  
Gdyby nie to, zburzyłabym wołaniem  
Górską jaskinię, gdzie się kryje Echo,  
I przykazała mu aż do schrypnięcia,  
Aż do utraty powietrznego głosu  
Powtarzać cztery zgłoski: „Mój Romeo”!

ROMEO

To moja własna dusza mnie przyzywa.  
Kiedy ktoś kocha, jego głos przez noc  
Płynie jak srebrna i słodka melodia.

JULIA

Romeo!

ROMEO

Julio?

JULIA

O której godzinie  
Przysłać posłańca?

ROMEO

O dziewiątej rano.

JULIA

Przyślę. Do rana jeszcze ze dwadzieścia  
Lat. Nie pamiętam, po co cię wołałam.

ROMEO

Poczekam tutaj, aż sobie przypominisz.

JULIA

Wtedy zapomnę, na co czekasz — zdolna  
Tylko do myśli, że mi z tobą dobrze.

ROMEO

A ja wciąż będę czekać, abyś głębiej  
Zapominała — i sam też zapomnę,  
Że mógłbym żyć gdzie indziej niż przy tobie.

JULIA

Już prawie ranek. Powinieneś odejść —  
A jednak nie dam ci odejść daleko:  
Jak ptaszek w rękach kapryśnego dziecka,  
Na krótką chwilę odfruwasz — a ja,  
O twoją wolność miłośnie zazdrosna,  
Jedwabną nitką ściągam cię z powrotem,  
Biednego więźnia w splątanych kajdanach.

ROMEO

Chcę być tym ptakiem, byle w twoich dłoniach.

JULIA

O, wtedy pewnie bym zacałowała  
I zapieściła cię na śmierć. Dobranoc!  
Mogłabym, słodkim rozstaniem pijana,  
Mówić „dobranoc” do białego rana.

*Znika.*

ROMEO

Śpij; niech spokojny sen legnie na bieli  
Twojej piersi! Sam bym legł na tej pościeli!  
Lecz muszę pędzić; gdy swój plan wyłożę  
Zakonnikowi, on mi dopomoże.

*Wychodzi.*



## Scena trzecia

*Przed celą Ojca Laurentego. Wchodzi Ojciec Laurenty, dźwigając koszyk.*

OJCIEC LAURENTY

Blednie noc chmurna: ranek szarooki  
Smugą uśmiechu przeświała obłoki;  
Pędzi słoneczny wóz — i mrok zaczyna,  
Jak stąpający chwiejnie pijaczyna,  
Schodzić mu z drogi. Płomienna źrenica  
Osusza rosę, dzień żarem nasycza:  
Teraz, nim jeszcze upał wzmóc się zdoła,  
Pora rwać zgubne i lecznicze zioła.  
Ziemia jest grobem i łonem natury:  
Co pogrzebane, wyda po raz wtóry  
Na świat — i troską matczyną przejęta,  
Wykarmi piersią swoje niemowlęta,  
Nie wszystkie równie udane, lecz cenne  
Dla niej tak samo, choć przecież odmienne.  
Jakiż to zasób potęgi wspaniałały  
Przepelnia kwiaty, zioła, minerały!  
Nie ma na ziemi rzeczy złej i brzydkiej,  
W której nie kryją się jakieś pożytki;  
Lub dobrej, która w wyniku nadużyć  
Nie zacznie raczej nam szkodzić niż służyć.  
Nieraz już cnota w grzech się przemieniała,  
A z grzechu rosła pokuta i chwała.

*Wchodzi Romeo.*

Ten wątły kwiatek nam, ludziom, użyczy  
Mocy zabójczej równie jak leczniczej:  
Jego aromat bowiem zdrowiu sprzyja;  
Kropelka soku — na miejscu zabija.  
Tak ludzka dusza sprzeczność w sobie karmi:  
To pole bitwy dla dwu wrogich armii:  
Dobra i zła; a kiedy zło w niej skruszy  
Dobro — zaraza przeżera kwiat duszy.

ROMEO

Dzień dobry, ojczy.

OJCIEC LAURENTY

Błogosław ci, Boże —  
Któż to mnie wita w tej porannej porze?  
Synu, kto z łóżka zrywa się tak wcześnie,  
Tego coś musi dręczyć nawet we śnie.  
Bywa, że skutkiem trosk w podeszłym wieku  
Nie śpi się; ale ty, młody człowieku?  
Na świeży umysł, wolny od zgryzoty,  
Bez trudu spływać powinien sen złoty.  
Jedno więc z dwojga — albo cię z posłania  
Zwłokła rozterka nie do wytrzymania,  
Albo też twoje niewyspane ciało  
Łóżka w ogóle w nocy nie zaznało.

ROMEO

Zgadłeś. Nie spałem dziś — choć słodko śniłem.

OJCIEC LAURENTY

Był z Rozaliną, grzesznik! A mówiłem —

ROMEO

Ja z Rozaliną? Nie: z tym ideałem  
Koniec — choć tyle przez nią wycierpiałem.

OJCIEC LAURENTY

Zuch! Ale gdzieś się włóczył do świtania?

ROMEO

Oszczędzę ci już dalszego pytania:  
W domostwie wroga byłem potajemnie,  
Gdzie ktoś mnie zranił i sam był przeze mnie  
Zraniony. Przyłóż do tych ran okłady  
Z kojącą maścią świątobliwej rady.  
Doceń, że nie chcę zemścić się na nikim:  
Przeciwnie, wstawiam się za przeciwnikiem.

OJCIEC LAURENTY

Mów prościej. W leśnym tym konfesjonale  
Pokrętna spowiedź nie ma sensu wcale.

ROMEO

Oto jej prosta treść: mój skarb jedyny  
To Julia, córka wroga mej rodziny.  
Dwa serca skłonność ku sobie poczuły,  
Wszystko nas z sobą wiąże — oprócz stuły,  
Którą ty musisz związać nasze dłonie.  
Gdzie i jak doszło do tego, że płonie  
W nas miłość — całą historię ci streszczę,  
Byleby ślub się odbył dzisiaj jeszcze.

OJCIEC LAURENTY

Święty Franciszku! A to ci odmiana!  
Więc Rozalina, wczoraj ukochana,  
Dziś nic nie znaczy? Więc miłość młodzika  
Nie w sercu, ale w oczach się zamyka?  
Ileż wylałeś łez z jednej przyczyny —  
Obojętności pięknej Rozaliny!  
Patrzcie go: gotów był w każdej minucie  
Soloną wodą przyprawiać uczucie,  
Które dziś nagle cały smak straciło!  
Echo twych jęków jeszcze nie wróciło  
Od nieb odbite, a na twarzy bladej  
Wciąż masz nie zmyte łez wczorajszych ślady.  
Twoja istota, twoja treść jedyna  
Była w tym jednym słowie: „Rozalina”.  
I taka zmiana? Widzę, że niestety  
Słabą płcią nie są wyłącznie kobiety.

ROMEO

Ganiłeś to, że była moją panią.

OJCIEC LAURENTY

Nie to, że była, lecz żeś szalał za nią.

ROMEO

Kazałeś miłość pogrzebać.

OJCIEC LAURENTY

Nie w grobie,  
Na którym mógłbyś znów flirtować sobie.

ROMEO

Tym razem to już nie flirt. Nie szydź ze mnie.  
Ta, którą kocham, kocha mnie wzajemnie —  
Nie tak jak tamta.

OJCIEC LAURENTY

Tak, tamta wiedziała,  
Że w sprawach serca jesteś jak ta mała  
Dziecina, która bezmyślnie powtarza  
Słowa dorosłych. Chcesz więc do ołtarza?  
Chodź, pogadamy, lekkoduchu młody.  
Aby ci pomóc, mam swoje powody:  
Może ta miłość Weronę oczyści  
Z plamiącej wasze domy nienawiści.

ROMEO

Śpieszmy się!

OJCIEC LAURENTY

Co za niecierpliwość dzika!  
Kto gna na oślep, łatwo się potyka...

*Wychodzą.*

## Scena czwarta

*Ulica w Weronie. Wchodzą Benvolio i Merkucjo.*

MERKUCJO

Gdzie, u diabła, podział się ten Romeo? Czy on w ogóle spędził noc w domu?

BENVOLIO

W każdym razie nie w rodzicielskim. Mówiłem z jego służącym.

MERKUCJO

To wszystko przez Rozalinę. Ta biała pannica ma serce z kamienia. Dręczy chłopaka tak, że wariata z niego zrobi.

BENVOLIO

Czeka na niego w domu list od Tybalta, krewniaka starego Capulettiego.

MERKUCJO

Wyzwanie — mogę się założyć.

BENVOLIO

Romeo z pewnością odpowie.

MERKUCJO

Żeby odpowiedzieć na list, wystarczy umieć pisać.

BENVOLIO

Chodzi mi o to, że odpowie na wyzwanie — odpowie odpowiednio, jak w takim wypadku wypada.

MERKUCJO

Biedny Romeo, już z niego zimny trup! Przygwożdżony oziębłym spojrzeniem wybranki; z uchem przebitym własną serenadą; z sercem rozłupanym tępą strzałą ślepego Amora; i on ma stawić czoło Tybaltowi?

BENVOLIO

A cóż to takiego, ten Tybalt?

MERKUCJO

Na pewno więcej niż Książę Kotów z bajki, który też się wabił Tybalt. O, ten kocur jest naprawdę zwinny i umie drapać! Bije się jak z nut — zawsze we właściwym rytmie i tempie: raz – pauza – dwa – pauza – i trzy w samą pierś! Trafi jednym pchnięciem w dowolny guzik przy koszuli — fechtmistrz, fechtmistrz zawołany, szermierz pierwszej klasy, pojedynekowicz, co kodeks honorowy zna na pamięć! Ach, nieśmiertelne *passado*! legendarne *punto reverso*! parada parad! szturm sztychów! marsz szarż!

BENVOLIO

„Marsz szarż”?!

MERKUCJO

Farsz! Farsz, którym się faszeruje cała fura afektowanych fanfaronów — tych, co to się zgrywają, pretensjonalnie seplenią, żonglują sztucznymi słówkami! „Na Jowisza, arcydzielna klinga! arcyciekawy osobnik! arcydupiasta dziewczka!” No powiedz, czy to nie żalosne, że nas tak obsiadły te cudzoziemskie muchy, te modne sroki, te wszystkie silwuple i zewupry, którym tak śmierdzi zacofane pospólstwo, że tylko nos zatykają i bąkają swoje „bon! bon!”

*Wchodzi Romeo.*

BENVOLIO

Romeo! Romeo idzie!

MERKUCJO

Coś bez ikry nasz Romeo — wygląda jak suszony śledź. Miłość go tak przerobiła — albo raczej przerybiła. Petrarkę mógłby naśladować: czułby się w sonecie jak ryba w akwarium. W porównaniu z jego lubą Laura to zwykła kuchta (choć miała absztyfikanta, co ją lepiej opiewał), Dydona to niechlujna dziewczka, Kleopatra — kopciuch, Helena

i Hero — flądry i flejtuchy, a Tyzbe ze swoimi szarymi oczami też się nie liczy. Signior Romeo, bon jour! Witam francuskim pozdrowieniem twoje francuskie pantalony. Ze-  
szłej nocy pokazałeś nam naprawdę odwrotną stronę swo-  
jego medalu.

ROMEO

Dzień dobry, moi drodzy. O jakim medalu mówisz?

MERKUCJO

Nie rozumiesz? Pokazałeś nam swój rewers — podałeś tył — mówiąc po prostu, zwałeś.

ROMEO

Nie gniewaj się, Merkucjo. Miałem naprawdę ważną spra-  
wę. W takiej sytuacji zapomina się o grzeczności.

MERKUCJO

To tak, jakbyś powiedział, że w pewnych sytuacjach czło-  
wiek może się wypiąć na przyjaciół.

ROMEO

Nawet to się może zdarzyć, jeśli składamy pokłon komuś  
innemu.

MERKUCJO

Bardzo giętko nam to wyłożyłeś.

ROMEO

A ty bardzo życzliwie to skomentowałeś.

MERKUCJO

Wiadomo: moja życzliwość dla ludzi jest nie do zdarcia.

ROMEO

Jest zatem trochę więcej warta niż moje buty.

MERKUCJO

Co za dowcipniś! Dobrze, ciągnijmy ten żart dalej: kiedy już zedrziesz buty, możesz je podzelować własnym dowcipem, bo sztywny jest jak podeszwa.

ROMEO

Za to ty robisz z gęby cholewę, aż szewska pasja człowieka ogarnia.

MERKUCJO

Benvolio, przerwij nam ten pojedynek, bo już mi brakuje obuwniczych konceptów i zaraz zacznę kląć jak szewc.

ROMEO

Co, czujesz się głupi jak but? Mam się uznać za zwycięzcę?

MERKUCJO

Twój dowcip rzeczywiście trudno dogonić, bo pędzi na przód jak oghupiała gęś. Mam rację?

ROMEO

Nie wiem, ty się lepiej znasz na głupich gęsiach: bez przerwy za nimi ganiasz.

MERKUCJO

Ej, bo ugryzę za takie żarty!

ROMEO

Chyba uszczypniesz dziobem.

MERKUCJO

Gryzący ten twój dowcip jak ostra musztarda.

ROMEO

Idealny dodatek do gęsi na zimno.

MERKUCJO

Jeszcze jeden z twoich konceptów! Ale im dalej, tym bardziej każdy jest naciągany.



ROMEO

Nie bój się, ten ostatni mogę naciągnąć jeszcze bardziej: obejmie wszystkie twoje atrybuty, o których dotąd mówiliśmy. Co za tym idzie, pojawisz się w nim jako gęś w podzelowanych butach i posmarowana musztardą.

MERKUCJO

No i proszę: czy nie przyjemniej tak się przekomarzać niż jęczeć z miłości? To rozumiem: teraz objawiasz towarzyskie talenty, teraz ukazujesz się jako Romeo — jako ten, kim autentycznie jesteś, albo kim autentycznie udajesz, że jesteś! Ta niedojdowata miłość jest jak wiejski głupek, co to lata z wywieszonym jęzorem, szukając dziury, w której mógłby podłubać kijaszkiem.

BENVOLIO

Stój! Dosyć!

MERKUCJO

Powstrzymujesz mnie, właśnie kiedy się zaczynam rozpędzać?

BENVOLIO

Tak, bo dowcip śliski i możesz sobie nabić guza.

MERKUCJO

Całkowicie się mylisz: ten akurat dowcip zgłębiłem już do końca i nie miałem zamiaru dalej go penetrować.

*Wchodzi Marta z służącym Piotrem.*

ROMEO *na widok Marty*

Spójrzcie, jaka majestatyczna fregata.

MERKUCJO

Pod bardzo wydętymi żaglami.

BENVOLIO

Dwie fregaty, damska i męska — tu wydyma się stanik, a tam koszula na brzuchu.

MARTA

Piotrze!

PIOTR

Słucham.

MARTA

Podaj mi wachlarz, Piotrze.

MERKUCJO

Podaj pani, wachlarz, Piotrze, żeby zasłoniła twarz; bo z dwojga złego wachlarz znośniejszy.

MARTA

Dzień dobry panom. Piękny ranek, prawda?

MERKUCJO

Dzień dobry szanownej pani. Raczej południe.

MARTA

To już tak późno?

MERKUCJO

A owszem, jest dokładnie południe; wskazówka zegara sterczy nieprzyzwoicie pionowo i wpycha się między dwie cyfry dwunastki.

MARTA

Wypraszam sobie! A cóż to za człowiek z pana?

ROMEO

Człowiek, szanowna pani, którego Pan Bóg stworzył, a psuciem tego, co stworzone, zajmuje się już on sam.

MARTA

Słowo daję, ładnie powiedziane — rzeczywiście zepsuty panicz. Nie wie któryś z panów, gdzie bym mogła znaleźć młodego Romea?

ROMEO

Ja wiem, ale kiedy go znajdziesz, młody Romeo będzie niestety starszy niż ten młody, którego szukasz. Jestem w każdym razie najmłodszy z tych, co noszą to imię. Mogłaś trafić gorzej.

MARTA

Co racja, to racja.

MERKUCJO

Co, racja, że Romeo wygląda coraz gorzej? Nie można było pojąć jego intencji lepiej. Mądra niewiasta.

MARTA

Jeżeli mówię z Romeem, to chciałabym pomówić w cztery oczy i do rąk własnych.

BENVOLIO

Albo z ust do ust i na cztery ręce. Baba kuta na cztery nogi. Zaraz go zaprosi na kolacyjkę.

MERKUCJO

Taka rozpusta! Jestem doprawdy zdziwiony!

ROMEO

Co za straszne dziwy?

MERKUCJO

Rzeczywiście, strasznych dziw nie widać w promieniu mili, chyba żeby liczyć tę, która stoi przy tobie.

*Śpiewa:*

Bywa, że dziwa  
Jest urodziwa —  
Lady Godiva prawdziwa;  
Dziwa sędziwa,  
Nawet godziwa,  
Rzadko się do niej umywa.

Romeo, będziesz u ojca na obiedzie? Właśnie tam idziemy.

ROMEO

Pójdę za chwilę, idźcie.

MERKUCJO

Żegnamy, sędziwe damy. Żegnamy, *(śpiewa)* damy, ach, damy!

*Merkucjo i Benvolio wychodzą.*

MARTA

Paniczu młody, a cóż to niby za Jędrek–mędrek z gębą pełną sprośności?

ROMEO

Jest to pewien pan, który uwielbia dźwięk swojego głosu. Co nagada przez minutę, musi potem odwoływać przez miesiąc.

MARTA

Jeśli powie kiedy coś na mnie, ja mu pokażę! Dam sobie radę z dwudziestką takich pyskaczy, nawet bardziej wyszczekanych! A jeśli sama nie dam rady, to znajdę kogoś do pomocy. Bezczelny łachudra! Co to ja jestem — jego kokota? jego kochanica? *(Do Piotra)* A ty też dobry — stoisz jak kołek w płocie i pozwalasz, żeby byle cham z ulicy używał sobie na mnie i miał z tego przyjemność!

PIOTR

Ja tam nie widziałem, żeby ktoś sobie na pani używał i miał z tego przyjemność. Jak będę kiedy widział, że ma, to zaraz wyciągnę miecz — dam sobie rękę uciąć! Do miecza to jestem tak samo prędki jak każdy chłop, jeśli tylko widzę, że bijatyka warta grzechu, a prawo po mojej stronie.

MARTA

Bóg mi świadkiem, taka jestem rozdrażniona, że każda część ciała mi się trzęsie. Bezczelny łachudra! Jedno słówko, paniczu: tak jak mówiłam, panienska kazała mi cię odzukać. Co prosiła powtórzyć, to zatrzymam dla siebie, ale jedno powiem: gdybyś miał ją nabić w butelkę i wyprowa-

dzić w pole, jak to mówią, to by to było bardzo parszywym, jak to mówią, zostawieniem na lodzie. Bo panienka jest młodziutka i dlatego, gdybyś ją miał ocyganić, to wobec takiej panienki będzie to naprawdę łajdactwo — bardzo paskudny postępek.

ROMEO

Ucałuj panienkę ode mnie, a tobie oświadczam uroczyście —

MARTA

A powiem jej, powiem — wszystko powtórzę co do słowa! A to się będzie radowała, Panie święty!

ROMEO

Cóż jej chcesz powtórzyć? Jeszcze nic nie usłyszałaś.

MARTA

Powtórzę, że się oświadczasz uroczyście — po mojemu, takie właśnie powinny być uczciwe oświadczenia.

ROMEO

Powiedz jej, żeby jeszcze dziś po południu postarała się przyjść pod pozorem spowiedzi do celi Ojca Laurentego. Tam się nie tylko wyspowiada, ale stanie ze mną przed ołtarzem. Masz tu za swoje trudy.

MARTA

Nie, paniczu, naprawdę; nie wezmę ani grosika.

ROMEO

Proszę cię, weź bez ceregieli.

MARTA

Więc za parę godzin? Dobrze, przyjdzie z pewnością.

ROMEO

A ty zostań w domu. Za jakąś godzinę przyślę służącego z drabinką sznurową. Po tych linach wespnę się potajem-

nie dziś w nocy na szczyt najwyższego masztu szczęścia. Bądź zdrowa. Dochowaj sekretu, a nagrodzę cię hojnie. Raz jeszcze, bądź zdrowa. I ucałuj panienkę ode mnie!

MARTA

Niech wam Bóg błogosławi! Ale, paniczu...

ROMEO

Co takiego?

MARTA

Czy twój sługa się nie wygada? Znasz przecież przysłowie: dwóch dochowa sekretu, jeśli jeden go nie zna?

ROMEO

Ręczę za niego: to wcielenie wierności.

MARTA

A ja ci mówię, ta moja panienka — co to za kochane stworzenie! Jaka to trajkotka była w swoim czasie, Chryste Panie! — Ale, ale, jest tu w mieście jeden szlachcic, niejaki Parys — ten ma na nią apetyt! Tyle że ona, niebożatko, wolałaby ropuchę widzieć niż jego. Powiadam czasem, żeby ją podrażnić, że Parys przystojniejszy; a ona jak wtedy nie zblednie — mówię ci, paniczu, bielsza się robi od najbielszego prześcieradła w całym Bożym świecie. „Rozmaryn” i „Romeo” zaczynają się od tej samej litery, prawda?

ROMEO

Nie inaczej: jedno i drugie od „r”. Dlaczego pytasz?

MARTA

Eee, żartuje sobie panicz ze mnie. Gdzieby tam od „r” — „r-r-r” to psy robią, jak warczą. Od „r” to się zaczyna inne słowo, zaraz... nie, jednak od innej litery. W każdym razie panienka ułożyła śliczne powiedzenie o tobie i o rozmarynie — przyjemnie by ci było usłyszeć.

ROMEO

Ucałuj ode mnie panienkę.

MARTA

Ucałuję, ucałuję, tysiąc razy!

*Romeo wychodzi.*

Piotrze!

PIOTR

Słucham.

MARTA

Weź mój wachlarz i ruszaj przodem, a żwawo.

*Wychodzą.*

## Scena piąta

*Ogród Capulettich. Wchodzi Julia.*

JULIA

Zegar dziewiątą bił, gdy ją posłałam;  
Przyrzekła, że za pół godziny wróci.  
Czyżby nie mogła go znaleźć? Nie, nie:  
~~Ona po prostu powoli się rusza,~~  
Nogi ma słabe. Posłańcem miłości  
Powinna raczej być myśl, dziesięć razy  
Szybciej pędząca niż słoneczny promień,  
Który cień spędza z pochyłego wzgórza.  
Właśnie dlatego rydwan Afrodyty  
Ciągną gołębie i dlatego Amor  
Unosi się na lotnych jak wiatr skrzydłach.  
Słońce w tej chwili jest w najwyższym punkcie  
Stromej podróży przez przełęcz dnia:  
Już trzy godziny, trzy długie godziny  
Zdażyły minąć — a jej ciągle nie ma.  
Gdyby w niej była energia uczucia  
I ciepło młodej krwi, byłaby w stanie  
Lecieć z mojego rozkazu jak piłka  
W dłonie miłego, i od niego do mnie.  
Ale gdzież starcom do takich mozołów:  
~~Są nieruchawi i ciężcy jak ołów.~~

*Wchodzi Marta i Piotr.*

Boże, jest wreszcie! I cóż, moja złota?  
Widziałaś się z nim? Najpierw odpraw służbę.

MARTA

Czekaj za drzwiami, Piotrze.

*Piotr wychodzi.*

JULIA

Mówże, nianiu,  
Mów! — Boże, czemu wyglądasz tak smutno?  
Złe wieści? Powtórz je chociaż z humorem.



A jeśli dobre, nie psuj kwaśną miną,  
~~Jak dysonansem, ich słodkiej harmonii.~~

MARTA

Daj mi odetchnąć chwilkę: ledwie żyję.  
Co za mordęga! Moje biedne kości!

JULIA

Oddam ci własne kości, tylko powiedz,  
Powiedz coś, nianiu, mów, złociutka, błagam.

MARTA

Co za gwałt, Chryste! Nie możesz poczekać?  
Nie widzisz, że mi jeszcze tchu brakuje?

JULIA

Jakże ci braknie tchu, skoro masz dosyć  
Tchu, by powiedzieć, że ci braknie tchu?  
~~Relacja o tym, że zwlekasz z relacją,~~  
Trwa znacznie dłużej niż sama relacja.  
~~Mów wreszcie, jakie wieści: złe czy dobre?~~  
~~Powiedz choć tyle: na resztę poczekam.~~  
Niechże się dowiem: złe czy dobre wieści?

MARTA

Oj, panienko, ten twój wybór zupełnie bez pomysłu: ty  
masz akurat pojęcie, jak męża wybierać! Romeo? Nie, każdy  
tylko nie on. Z twarzy, nie powiem, przystojniejszy od innych;  
ale znowuż nogi ma zgrabniejsze niż ktokolwiek; a z drugiej  
strony, chociaż o rękach i stopach i całej budowie nawet nie  
warto wspominać, to jednak pod tymi względami nie ma  
sobie równych. Trudno powiedzieć, żeby był wcieleniem  
galanterii, ale grzeczny jest jak baranek. No, dziewczyno:  
w imię Boże! A jak tam z obiadem, wszyscy już jedli?

JULIA

Nie. — Ale o tym wszystkim już wiedziałam.  
Co ci powiedział o ślubie? Mów wreszcie!

MARTA

Boże mój, co za przeklęty ból głowy!  
Łupie mnie, jakby się miała rozlecieć  
Na sto kawałków. A krzyż — och, mój krzyż!  
Niech ci, dziewczyno, Pan Bóg nie pamięta,  
Żeś mnie wysłała na taką wyprawę:  
Odpoczną pewnie dopiero w mogile!

JULIA

Naprawdę przykro mi, że źle się czujesz,  
Ale, kochana, najmilsza, złociutka,  
Błagam cię, mówże wreszcie: co powiedział?

MARTA

Ano powiedział — a mówił, możesz mi wierzyć, jak zac-  
ny szlachcic, uprzejmie, z dobrego serca, a widać było,  
że i przystojny, i zalet ma całe mnóstwo... A gdzie matka  
panienki?

JULIA

Matka? A gdzież ma być? Jest pewnie w domu.  
Dziwnie naprawdę opowiadasz: „Mówił  
Jak zacny szlachcic: «Gdzie matka panienki?»”!

MARTA

O Matko Boska, co za niecierpliwość!  
W gorącej wodzie panienka kąpana!  
To ma być okład na te stare kości?  
Następnym razem sama sobie lataj!

JULIA

Dobrze już, dobrze: co mówił Romeo?

MARTA

Miałaś się dzisiaj wybrać do spowiedzi:  
Masz pozwolenie?

JULIA

Tak, mam.

MARTA

W takim razie

Ruszaj do celi ojca Laurentego:  
Znajdziesz tam kogoś, kto chce cię za żonę.  
Proszę, jak to—to łatwo się czerwieni:  
Byle nowina — od razu wypieki!  
Pędź do kościoła; ja mam inne sprawy:  
Trzeba mi przynieść drabinkę, po której  
Twój ptaszek wkradnie się w nocy do gniazdka.  
Ciągłe coś dźwigam, jak ten tragarz stary:  
Ciebie przygniotą już miłsze ciężary.  
Idę na obiad; ty leć do spowiedzi.

JULIA

Lecę ku szczęściu; nikt mnie nie wyprzedzi!

*Wychodzą.*

## Scena szósta

*Przed celą Ojca Laurentego. Wchodzą Ojciec Laurenty i Romeo.*

OJCIEC LAURENTY

Oby ten święty obrzęd ściągnął na nas  
Nie przyszłe smutki, ale uśmiech niebios.

ROMEO

Amen! Lecz nawet długie lata smutków  
Nie będą ważyć więcej niż ta radość,  
Którą mi daje jedna chwila z Julią.  
Połącz nas węzłem świętych słów — a potem  
Niech śmierć próbuje żreć miłość jak rdza:  
Wystarczy mi, że Julia będzie moja.

OJCIEC LAURENTY

Gwałtowne pasje gwałtownie się kończą —  
U szczytu mają swój kres. Pocałunek  
Iskry i prochu staje się wybuchem,  
Który je unicestwia. Miód jest słodki,  
Lecz gdybyś nie jadł od rana do nocy  
Nic oprócz miodu, straciłbyś apetyt.  
Umiarkowana miłość dłużej cieszy:  
Łatwo się spóźnia, kto się zbyt śpieszy.

*Wchodzi Julia*

Otóż i ona. Leci jak na skrzydłach!  
Tak lekka stopa nie wyłobi śladu  
Na wiecznym gładzie. Kto kocha, potrafi  
Iść po rozpiętych w słonecznym powietrzu  
Nitkach babiego lata: tak nieznaczna  
Jest waga ziemskiej, doczesnej miłości.

JULIA

Witam cię, ojczy, i zdrowia ci życzę.

OJCIEC LAURENTY

Romeo podziękuje za nas obu.

JULIA

Jego więc muszę ucałować, żeby  
Podziękowania nie były na wyrost.

ROMEO

Najdroższa, jeśli tak samo się cieszysz  
Jak ja i radość potrafisz wyśpiewać  
Lepiej ode mnie — osłódź swym oddechem  
Powietrze wokół: muzyka jedynie  
Wysłowi cały ogrom tego szczęścia,  
W jakie nas niesie dzisiejsze spotkanie.

JULIA

To szczęście samo w sobie jest bogactwem:  
Po co ujmować je w słowa i nuty?  
Tylko żebracy są w stanie zrachować  
Wartość swojego mienia; moja miłość  
To skarb, którego obliczyć się nie da.

OJCIEC LAURENTY

Dalejże, chodźcie ze mną — bo was samych  
Tu nie zostawię. Niech najpierw w świątyni  
Sakrament jedność z was dwojga uczyni.

*Wychodzą.*

## Scena pierwsza

*Plac w Weronie. Wchodzą Merkucjo, Benvolio, Paź Merkucja i służba.*

BENVOLIO

Merkucjo, mówię ci, wróćmy do domu.  
Jest upał, wszędzie pełno Capulettich:  
Z byle spotkania będzie awantura,  
Bo w tak gorące dni krew się gotuje.

MERKUCJO

Jesteś jak ten jegomość, co to wchodzi do winiarni,  
rzuca rapier na stół i powiada: „Nie daj Boże, żebym cię  
potrzebował!” — a skoro tylko wychyli drugi kubek,  
rzuca się z rapierem na posługacza, chociaż rzeczywi-  
ście nie ma po temu potrzeby.

BENVOLIO

Masz mnie za kogoś takiego?

MERKUCJO

No, no, nie zaprzeczaj: kiedy masz coś na wątrobie,  
równie zapalczego zabijaki nie ma w całych Wło-  
szech. Łatwo wprawić cię w furję, a w roli furiata masz  
wiele wprawy.

BENVOLIO

Mówisz o mnie, czy o kimś innym?

MERKUCJO

Ba, gdyby było dwóch takich, wkrótce ani jednego by  
nie było, bo by się wzajem pozarzynali. Przecież ty po-  
trafisz napaść na kogoś za to, że ma w brodzie jeden  
włosek więcej albo mniej od ciebie. Rzucasz się na ko-  
goś z bronią w rękę tylko za to, że piwo pije i w ten

sposób rzekomo robi przytyk do twoich piwnych oczu! Któż poza tobą widziałby w czymś takim okazję do awantury? Głowę masz wypchaną burdami jak pieróg siekanym mięsem, chociaż już z niejednej burdy sam wyszedłeś w postaci siekanego mięsa. Czy nie rzuciłeś się raz na przechodnia za to, że kaszlnął i obudził ci psa, który spał sobie w słońcu? Nie pobiłeś się z krawcem o to, że wdział nową kapotę w dzień powszedni? a z kimś innym o to, że miał stare sznurowadła u nowych trzewików? I ty mnie będziesz strofować za kłóliwość!

BENVOLIO

Gdybym był tak kłóliwy jak ty, nikt by nie postawił grosza na to, że przeżyję dłużej niż pięć kwadransów.

MERKUCJO

Co, nie przeżyjesz dłużej? Ja tego nie przeżyję!

*Wchodzi Tybalt ze swoimi poplecznikami.*

BENVOLIO

Coś mi się wydaje, że mamy towarzystwo.

MERKUCJO

Coś mi się wydaje, że mam gdzieś takie towarzystwo.

TYBALT

Pomówię z nimi. Trzymajcie się blisko. —  
Chciałbym zamienić słówko z jednym z panów.

MERKUCJO

Co, tylko z jednym i tylko jedno słówko? Dodaj coś do tej wymiany słówek — na przykład wymianę pchnięć.

TYBALT

Z największą chęcią, drogi panie. Daj mi tylko okazję.

MERKUCJO

Muszę ci dawać? Nie potrafisz sam wziąć?

TYBALT

Grasz zawsze pierwsze skrzypce w otoczeniu Romea —

MERKUCJO

Skrzypce? A cóż to ja jestem — muzykant? Rzępoła jakiś? Mogę ci zaraz porzępolic, aż cię uszy rozbolą. Oto mój smyczek; zaraz ci zagra do tańca. Patrzcie go — pierwsze skrzypce!

BENVOLIO

Panowie, jakże tak można, na placu?  
Pełno tu ludzi. Albo się rozejdźmy,  
Albo w ustronnym miejscu bez awantur  
Przedyskutujmy wzajemne pretensje —  
Bo tutaj patrzy na nas mnóstwo oczu.

MERKUCJO

Oczy są do patrzenia, więc niech patrzą.  
Mnie nikt nie będzie ustawiał po kątach.

*Wchodzi Romeo.*

TYBALT

Wrócimy jeszcze do tego: na razie  
Żegnam. ~~Ten człowiek lepiej mi posłuży.~~

MERKUCJO

„Człowiek?” Nie widzę jakoś, żeby nosił  
Twoją liberię. A „posłużyć” może  
W tym sensie, że cię nauczy rozumu.

TYBALT

Romeo, moja sympatia do ciebie  
Da się wyrazić jednym słowem: łajdak.



ROMEO

Tybalcie, moja do ciebie sympatia  
Ma taki powód, że powściąga gniew,  
Jaki wzbudziłoby w innych warunkach  
To powitanie. Nie jestem łajdakiem.  
Bądź zdrów. Jak widzę, nie znasz mnie zupełnie.

TYBALT

O nie, chłopaczku, tak się nie wymigasz:  
Zbyt wiele obelg od ciebie słyszałem.  
Stawaj! Wyciągaj rapier!

ROMEO

Nigdy w życiu  
Nie obraziłem cię — i mam dla ciebie  
Wiele przyjaźni. Mógłbyś to zrozumieć  
Jedynie wtedy, gdybyś znał jej powód.  
Poprzestań na tym, Capuletti — imię,  
Które szanuję tak jak swoje własne.

MERKUCJO

Niemrawa, nędzna, niegodna uległość!  
Jak to, ten fircyk ma odejść zwycięzcą?

*Dobywa broni.*

Pozwól na stronę, szczurołapie.

TYBALT

Czego chce ode mnie ten człowiek?

MERKUCJO

Niczego, drogi Książę Kotów — niczego poza twoim  
marnym życiem, choć podobno kota trudno ukatrupić.  
Postaram się, żebyś nie padł na cztery łapy, tylko raczej  
prosto na pysk. No co, wyciągniesz ten swój rapier za

uszy? Pośpiesz się, żebym ci przedtem moim nie obciął uszu.

TYBALT

Służę.

*Dobywa broni.*

ROMEO

Merkucjo, schowaj rapier, bardzo cię proszę.

MERKUCJO

Pokaż mi swoje sławne passado!

*Walczą.*

ROMEO

Benvolio, chwyć broń, pomóż ich rozdzielić.

Co wy robicie? przerwijcie to starcie!

Tybalt! Merkucjo! Dość! Książę wyraźnie

Zabronił burd na ulicach Werony.

Tybalcie, przestań! Merkucjo, już dosyć!

*Tybalt, zasłonięty przez Romea, zadaje pod jego ramieniem cios i rani Merkucja, po czym oddala się ze swoimi ludźmi.*

MERKUCJO

Zranił mnie, łotr. Niech diabeł porwie wasze

Obydwa domy! Już się nie wylizę.

Co, poszedł sobie? Nawet nie draśnięty?

BENVOLIO

Co z twoją raną?

MERKUCJO

Ech, nic, skaleczenie,

Ale wystarczy, psiakrew. ~~Gdzie mój paż?~~

~~Lećże, gamoniu, i sprowadź chirurga.~~

*Paź wychodzi.*

ROMEO

Trzymaj się. Rana pewnie powierzchowna.

MERKUCJO

Pewnie, nie tak głęboka jak studnia i nie tak szeroka jak kościelne wrota, ale w sam raz wystarczy. Odwiedźcie mnie jutro — zobaczycie, że się wreszcie ustatkowałem: nawet się nie ruszam. Na tym świecie w każdym razie już nie narozrabiam za wiele. Niech diabli porwą oba wasze domy! Żeby taki pies, szczur, mysz, kot jednym drapnięciem załatwił człowieka na amen! taki bufon, oszust, podlec, co bije się jak z podręcznika! Po kiego diabła wpakowałeś się pomiędzy nas? Pchnął mnie pod twoim ramieniem.

ROMEO

Chciałem jak najlepiej.

MERKUCJO

Benvolio, pomóż wejść do jakiejś sieni,  
Bo coś mi słabo. A niech diabli porwą  
Te wasze domy! To one są winne,  
Że mnie robaki zeżrą na kolację.  
Tak, mam za swoje. Och, te wasze domy!...

*Wychodzi, podtrzymywany przez Benvolia.*

ROMEO

Ten dzielny chłopak, bliski krewny Księcia  
I mój prawdziwy przyjaciel — śmiertelnie  
Zraniony, i to z mojego powodu;  
Ja sam zelżony przez Tybalta — właśnie  
Tybalta, mego powinowatego  
Od tak niedawna, ledwie od godziny!

Julio — to ty, to wspomnienie twych oczu  
Zmiękczyło we mnie niezłomną stal męstwa!

*Wchodzi Benvolio.*

BENVOLIO

To straszne, straszne — Merkucjo nie żyje!  
Jego waleczny duch pogardził ziemią,  
Wzbił się w obłoki — lecz czemu tak wcześnie?

ROMEO

Na tym dniu czarnym krwawe losu dzieło  
Nie kończy się: dopiero się zaczęło.

*Wchodzi Tybalt.*

BENVOLIO

Ten potwór Tybalt jest chyba bez serca:  
Znow tu się zjawia.

ROMEO

Chępliwy morderca:  
Merkucjo zginął — on, zwycięzca żyje!  
Niech zniknie w niebie anioł łagodności:  
Płomiennooka furia mnie powiedzie  
Ku zemście! Zwrócę ci, Tybalcie, tamtą  
Obelgę, tego „łajdaka” — bo dusza  
Merkucja ponad naszymi głowami  
Wciąż się unosi i czeka, aż do niej  
Dołączy jedna z naszych dusz — lub obie.

TYBALT

Trzymałeś się z nim, chłopaczku, za życia,  
Dołącz do niego w śmierci.

ROMEO

Zobaczemy.

*Walczą. Tybalt pada.*

BENVOLIO

Romeo, błagam cię, uciekaj zaraz!  
Ludzie tu biegną, a Tybalt zabity.  
Uciekaj, nie stój tak jak osłupiały!  
Wpadniesz w ich ręce i Księżę cię skaze  
Na śmierć!

ROMEO

Igraszką losu jestem...

BENVOLIO

Prędzej!

*Romeo wybiega. Wchodzi Mieszczanie.*

MIESZCZANIN

Gdzie jest zabójca Merkucja? Którędy  
Uciekł morderca Tybalt?

BENVOLIO

Leży tutaj.

MIESZCZANIN

Ze mną, mój panie. I w imieniu Księcia  
Dobrze ci radzę, żebyś był posłuszny.

*Wchodzi Księżę z orszakiem, Montecchi i Capuletti oraz ich żony, a także inne osoby.*

KSIĄŻĘ

Gdzie nikczemnicy, którzy wszczęli burdę?

BENVOLIO

Dostojny Księżę, wyjawię ci cały  
Nieszczęsny przebieg fatalnego starcia.

Zabity ręką młodego Romea,  
Leży tu człowiek, który wcześniej zabił  
Twego krewniaka, dzielnego Merkucja.

PANI CAPULETTI

Tybalt, mój krewny! Syn mojego brata!  
Och, Książę! Mężu! Przelano tu krew  
Mojego rodu! Książę, za krew naszą  
Niech ród Montecchich zapłaci też krwią.  
O, mój bratanku!

KSIĄŻĘ

Benvolio, kto zaczął  
Tę krwawą burdę?

BENVOLIO

Sprawcą jej był Tybalt.  
Romeo starał mu się wytłumaczyć,  
Jak błahy powód ma spór, uświadamiał,  
Że spadnie na nas potężny gniew Księcia.  
Mówił to grzecznie, spokojnie, a nawet  
Z wielką pokorą — nie był jednak w stanie  
Uśmierzyć wściekłej wrogości Tybalta,  
Głuchego na te wezwania do zgody.  
W zapale Tybalt przenikliwą stałą  
Godzi w Merkucja; ten, równie wzburzony,  
Ostrze odpiera równie zwinnym ostrzem;  
Wprawny w fechtunku, dzierży w lewej dłoni  
Sztylet i trzyma w szachu zimną Śmierć,  
A prawą dłonią, uzbrojoną w rapier,  
Tę samą Śmierć pcha w stronę przeciwnika;  
Tybalt zaś równie zręcznie cios odbija.  
Romeo woła: „Stójcie, przyjaciele!  
Przerwijcie walkę!” i ramieniem szybszym  
Od słów rozdziela śmiercionośne klingi,  
Stając pośrodku; ale wtedy Tybalt

Złośliwym ciosem spod jego ramienia  
Przecina życie męznego Merkucja.  
Potem ucieka, lecz po chwili wraca  
Na plac, gdzie bólem złamany Romeo  
Dopiero teraz zawrzał żądzą zemsty:  
Ostrza błysnęły jak dwie błyskawice  
I nim zdążyłem sam wyciągnąć rapier,  
By ich rozdzielić, mężny Tybalt poległ.  
Gdy padł, Romeo uszedł z placu boju.  
Tak się rzecz miała — i bodajbym zginął,  
Jeślim w czymkolwiek z prawdą się rozminął.

PANI CAPULETTI

To krewniak Montecchiego; jego słowa  
Wypacza przyjaźń albo więź rodowa.  
Z dwudziestu ich tu było — i ta obca  
Zgraja napadła na naszego chłopca.  
Jeden należy się wyrok bandycie:  
Romeo zabił — sam niech odda życie.

KSIĄŻĘ

Lecz w tym rachunku brak trzeciej postaci:  
Zginął Merkucjo. Kto za to zapłaci?

MONTECCHI

Nie nasz Romeo. On tylko w ud ręce  
Po śmierci druha wziął prawo w swe ręce:  
Ukarął śmiercią zabójcę.

KSIĄŻĘ

Szalony

Ten czyn karzemy wygnaniem z Werony.  
I ja tym razem ucierpiałem z winy  
Waszych zwad: zginął ktoś z mojej rodziny;  
O, nie dam wam zapomnieć o tej stracie:  
Tak was ukarzę, że zapamiętacie,

Co sprawiedliwość znaczy. Będę głuchy  
Na jęki, prośby i wyznania skruchy.  
Romeo ma stąd zniknąć. Niech nie zwleka.  
Gdy go w Weronie znajdę, śmierć go czeka.  
Zabrać stąd zwłoki. Niechaj na mordercę  
Wyrok wydaje prawo, a nie serce.

*Wychodzą.*





## Scena druga

*Pokój w domu Capulettich. Wchodzi Julia.*

JULIA

Pędźcie, rumaki o kopytach z ognia,  
Ku zachodowi, gdzie sypialnia Feba!  
Gdyby Faeton, jego młody syn,  
Powoził wami, prędzej byście mknęły  
W stronę bram zmierzchu i pochmurnej nocy!  
Gęsta kurtyna mroku niech osłoni  
Scenę miłości, gadatliwym widzom  
Zaćmi wzrok, aby nikt nie spostrzegł, kiedy  
W moich ramionach znajdzie się Romeo!  
Kochankom w ich miłosnych rytuałach  
Przyświeca nagi blask ich własnych ciał;  
A zresztą, miłość jest ślepa, więc w nocy  
Ma najwłaściwszą scenerię. Przybywaj,  
Nocy, szacowna matrono, odziana  
W poważną czerń, i naucz mnie, jak przegrać  
Grę, w której stawką jest nasze dziewictwo —  
Przegrać i wygrać zarazem. Płonący  
W policzkach pożar nieposłusznej krwi  
Osłoń swym czarnym płaszczem — niech niewprawna  
Miłość ośmiela się z wolna, aż wszystko,  
Co czyni, zda się jej proste i skromne.  
Przyjdź, nocy; przybądź, Romeo; przyjdź, dniu  
Pośrodku nocy, lśniący na jej skrzydłach  
Jaśniej niż świeży szron na piórach kruka.  
Przyjdź, dobra nocy, ciemnooka nocy;  
Przynieś ze sobą Romea; a kiedy  
Mój miły skona, rozsyp go po niebie  
W rój drobnych gwiazd, co tak rozjaśnia mroki,  
Że świat zakocha się w nocy i odtąd  
Nie złoży hołdu jaskrawemu słońcu.


Och, mam na własność przybytek miłości,  
Ale nie mogę wkroczyć w jego progi;  
I sama jestem jak rzecz, którą kupiec  
Nabył już, ale jeszcze jej nie dotknął.  
Ten dzień się nie chce skończyć, tak jak noc  
Przed świętem, kiedy niecierpliwe dziecko  
Nie może zasnąć, bo chciałoby zaraz  
Przywdziać swój nowy strój. Marta! Nareszcie!

*Wchodzi Marta, niosąc drabinkę sznurową.*

Niesie mi wieści o nim; każde zdanie,  
W którym brzmi imię Romea, jest dla mnie  
Najcudowniejszą linijką poezji.  
Mów prędko, nianiu! Mów! Czy ta drabinka  
To dla Romea?

MARTA

Drabinka? A, prawda...

 *Rzuca drabinkę na ziemię.*

JULIA

Na Boga, czemu załamujesz ręce?

MARTA

Zmiłuj się, Boże! Nie żyje! nie żyje!  
Co teraz będzie? co to z nami będzie?  
O, Jezu, Jezu! Nie żyje, zabity!

JULIA

Czy niebo może być aż tak zawistne?

MARTA

Niebo nie, ale żeby ten Romeo  
Miał taki zły charakter! Mój ty Boże!  
Kto by pomyślał, że właśnie Romeo!

JULIA

Ty chyba diabłem jesteś! tak mnie dręczyć!  
Dno piekła nie zna okrutniejszych tortur.  
Czyżby odebrał sobie życie? Powiedz  
„Tak”, a ta jedna trująca sylaba  
Uśmierci mnie skuteczniej niż zabójczy  
Wzrok bazyliuszka. Nie mam po co istnieć,  
Jeśli istnieje takie „tak”, jeżeli  
Znajdę je choćby w jednym twym spojrzeniu.  
Powiedz „tak”, jeśli zginął; jeśli nie,  
Powiedz „nie”. W jednej sylabie się zmieści  
Wieczność przyszłego szczęścia lub boleści.

MARTA

Na własne oczy widziałam tę ranę  
(Boże, zachowaj ode złego!) — tutaj,  
Na piersi. Biedny trup, cały we krwi,  
Szary jak popiół, cały krwią zbryzgany,  
Zakrzepłą krwią. Zemdlałam na sam widok.

JULIA

O, pęknij serce, nieszczęsny bankrucie!  
Oczy, zamknijcie się jak bramy więzień!  
Niech marne ciało, gdy ruch w nim ustanie,  
Z Romeem dzieli śmiertelne posłanie!

MARTA

Och, Tybalt, Tybalt! A tak go lubiłam!  
Taki uprzejmy, grzeczny, zacny panicz!  
Że też dożyłam takiej młodej śmierci!

JULIA

Co to za piorun z dwu stron nieba naraz?  
Romeo zginął — Tybalt też zabity?  
Mój mąż najmilszy — mój najmilszy kuzyn?

O, niechaj w ryku trąb wstaje Dzień Sądu:  
Któż chce żyć jeszcze, gdy ci dwaj nie żyją?

MARTA

To Tybalt zginął — Romeo jest tylko  
Wygnany. Zabił go, więc jest wygnany.

JULIA

Boże! Romeo przelał krew Tybalta?

MARTA

To on, niestety! to Romeo zabił!

JULIA

O, wąż podstępny, zaczajony w kwiatach!  
Czy istniał kiedyś potwór głębiej skryty?  
Czuły wróg! szatan w anielskiej postaci!  
Kruk o gołębach piórach! wilk w jagnięcej  
Skórze! nikczemność w niebiańskim przebraniu!  
Sprzeczność, ukryta pod każdym pozorem:  
Szlachetny zbrodniarz, święty potępieniec!  
Naturo, któż ci podsunął ten podstęp,  
Cóż ci kazało ducha z piekła rodem  
Zwabić w śmiertelny raj pięknego ciała?  
Czyż kiedy książka o tak wstrętnej treści  
Miała tak świetną oprawę? czyż kiedy  
Falsz mógł królować w tak pysznym pałacu?

MARTA

Tak, w chłopie nie ma za grosz uczciwości,  
Ani krzty wiary; wszystko to oszusty,  
Jeden w drugiego chytrus bez sumienia.  
Gdzie Piotr? Daj no mi kroplę okowity.  
O dziesięć lat się postarzałam przez te  
Smutki i troski. Przeklęty Romeo!  
Co to za hańba!

JULIA

Bodajby ci język  
W kołek się zmienił za takie przekleństwo!  
Hańba niezgodna jest z jego naturą:  
Nie poważylałaby się napiętnować  
Czoła Romea. To czoło jest tronem,  
Na którym można koronować honor  
Na udzielnego monarchę wszechświata.  
Jak mogłam tak bezmyślnie go obwiniać!

MARTA

Kuzyna zabił ci i chcesz go chwalić?

JULIA

Mam się odzegnać od własnego męża?  
Biedaku, któż oczyści twoje imię,  
Skoro ja, żona od trzech ledwie godzin,  
Tak je zszargałam? A jednak, dlaczego  
Zabiłeś mi kuzyna, nikczemniku?  
Wiem: to nikczemny kuzyn chciał cię zabić!  
Precz, głupie łyzy, mylicie jedno z drugim:  
Radość z żałobą. Jest przecież pociecha  
W tym, że choć Tybalt zginął, jego śmierć  
Udaremniła śmierć mojego męża:  
Romeo żyje. Więc dlaczego płaczę?  
Tak, to przez jedno straszne słowo, gorsze  
Niż wieść o śmierci Tybalta — zabójcze!  
Gdybym je mogła usunąć z pamięci;  
Lecz nie, wczepiło się w nią pazurami  
Jak zły uczynek w sumienie grzesznika.  
„Tybalt nie żyje — Romeo wygnany”.  
O, to „wygnany”, to jedno „wygnany”  
To cios straszniejszy niż dziesięć tysięcy  
Takich jak ten, co powalił Tybalta.

Jego śmierć byłaby już sama w sobie  
Dość wielkim bólem; lecz jeśli nieszczęściu  
Trzeba kompanii, jeśli szuka gwałtem  
Świty podobnych nieszczęść, czemuż w ślad  
Za zdaniem: „Tybalt nie żyje!” nie poszło:  
„Zmarł ojciec”, „matka”, „oboje rodzice”?  
Taką wieść można zwyczajnie opłakać.  
Lecz gdy po śmierci Tybalta nadchodzi  
Zdanie: „Romeo wygnany” — dźwięk jego  
Zabija wszystkich: Tybalta, Romea,  
Rodziców, Julię. „Romeo wygnany” —  
Śmierć, która kryje się w tym zdaniu, nie zna  
Końca, wytchnienia, miary ani granic.  
To dno rozpacz; słowa tutaj na nic. —  
A gdzie rodzice? Mów, nianiu jedyna.

MARTA

Płaczą nad ciałem twojego kuzyna.  
Idź tam.

JULIA

Więc łzami myją jego rany?  
Ja będę płakać, że mąż mój wygnany.  
Zabierz drabinkę. Biedne są te sznury  
Tak jak ja — nie ma bowiem tego, który  
Chciał po nich wspiąć się w naszą noc godową.  
Umrę dziewicą i zarazem wdową.  
Nie tak, jak chciałam, zostałam zraniona:  
Śmierć, nie Romeo, bierze mnie w ramiona!

MARTA

Idź do sypialni. Wiem, gdzie jest Romeo.  
Przyjdzie dziś w nocy, pocieszy cię. Nie jęcz.  
Powiem mu: jest u zakonnika w celi.  
No, nie becz, zaraz tu przed tobą stanie.

JULIA

Daj mu ten pierścień. Obyśmy umieli  
Wstrzymać łzy, zanim nadejdzie rozstanie.

*Wychodzą.*

## Scena trzecia

*Przed celą Ojca Laurentego. Wchodzi Ojciec Laurenty.*

OJCIEC LAURENTY

Romeo, nie bój się, wyjdźże z ukrycia.  
Ech, spodobałeś się widać niedoli,  
Bo lgnie do ciebie niczym ślubna żona.

*Wchodzi Romeo.*

ROMEO

Cóż, ojczy? Jaki wyrok wydał Książę?  
Jaka tym razem nieznajoma bieda  
Pragnie się ze mną poznać?

OJCIEC LAURENTY

Z towarzystwem

Nieszczęść zdążyłeś się oswoić — prawda.  
A o wyroku Księcia zaraz powiem.

ROMEO

O ile niższy jest od najwyższego  
Wymiaru kary?

OJCIEC LAURENTY

O, jest znacznie niższy:  
To wyrok śmierci, lecz tylko cywilnej;  
Książę pozwala ci żyć — na wygnaniu.

ROMEO

Jak to, banicja? Okaż litość, powiedz  
„Śmierć” — bo wygnanie bardziej mnie przeraża  
Niż śmierć. Zaklinam cię, cofnij to słowo.

OJCIEC LAURENTY

Od dzisiaj jesteś wygnany z Werony.  
Głowa do góry: świat jest dość szeroki.



ROMEO

Nie, nie ma świata za murem Werony —  
Tylko udręka, czyściec, samo piekło!  
Banicja stąd jest banicją ze świata,  
A być wygnanym ze świata to umrzeć —  
„Banicja” zatem to eufemizm śmierci.  
Dać śmierci nazwę „banicji” — to tak,  
Jakbyś na szafot mnie wiódł i pocieszał,  
Że topór złoty, a kat uśmiechnięty.

OJCIEC LAURENTY

Co za niewdzięczny, zatwardziały grzesznik!  
Twoje przestępstwo prawo karze śmiercią —  
Wyrozumiały Książę raczył stanąć  
Po twojej stronie, prawo nagiął nieco  
I czarne słowo „śmierć” zmienił w banicję.  
A ty nie widzisz w tym dowodu łaski!

ROMEO

Cóż to za łaska? To raczej tortura.  
Tutaj jest niebo — tu, gdzie Julia mieszka;  
Kot, pies, mysz, każde mizerne stworzenie  
Żyje w tym niebie, bo wolno mu patrzeć  
Na Julię — tylko mnie tego nie wolno.  
Mucha jest godna większych przywilejów,  
Większą ma wartość niż ja: może musnąć  
W przelocie biały cud jej wąskiej dłoni  
I nieśmiertelną błogość skraść z jej warg,  
Które dziewiczy wstyd rumieni, jakby  
Sam ich wzajemny dotyk był już grzechem.  
Mucha ma prawo do tego — ja nie;  
Mucha jest wolnym stworzeniem — mnie wiąże  
Wyrok banicji, ja jestem wygnańcem!  
I mówisz, że wygnanie to nie śmierć?  
Masz chyba jakąś truciznę pod ręką,  
Nóż wyostrzony, pętlę, najpodlejsze  
Narzędzie śmierci — wszystko będzie lepsze  
Niż zabijanie mnie słowem „banicja”!

Ojczy, tym słowem drażnią potępionych  
Diabli, gdy chcą się nacieszyć ich wyciem!  
I ty, pobożny spowiednik, ty, który  
Odpuszczasz grzechy, który się uważasz  
Za mego przyjaciela — ty masz serce  
Pasy drzeć ze mnie tym słowem „banicja”?

OJCIEC LAURENTY

Szalony chłopcze, posłuchaj mnie tylko...

ROMEO

Znowu mnie będziesz kaleczył tym słowem.

OJCIEC LAURENTY

Przeciwnie, dam ci przeciw niemu zbroję,  
Balsam na rany — dam ci filozofię,  
Która w banicji będzie pocieszeniem.

ROMEO

Jednak „w banicji”? Zatrzymaj ją sobie,  
Tę filozofię — chyba, że potrafi  
Stworzyć z niczego Julię, przenieść miasto  
Na inne miejsce, anulować wyrok:  
To co innego! Nic już lepiej nie mów.

OJCIEC LAURENTY

Szał powoduje, jak widzę, głuchotę.

ROMEO

Za to z mądrości poniektórzy ślepną.

OJCIEC LAURENTY

Pomówmy chwilkę o twojej sytuacji.

ROMEO

Nie umiesz w nią się wczuć, więc cóż mi powiesz?  
Gdybyś był młody, zdobył serce Julii,  
Stał się zabójcą w godzinę po ślubie,  
Był zakochany jak ja i wygnany:

O, wtedy mógłbyś mówić! mógłbyś wyc,  
Rwać włosy z głowy, rzucać się na ziemię  
Jak ja — brać miarę na swój rychły grób.

*Słuchać pukanie.*

OJCIEC LAURENTY

Wstawaj, ktoś puka. Schowaj się gdzieś — szybko.

ROMEO

Nie chcę. Osłoni mnie przed ludzkim wzrokiem  
Mgła, co zgęstnieje z tchnienia moich jęków.

*Pukanie.*

OJCIEC LAURENTY

Co to za łomot! Kto tam? — Wstań, Romeo;  
Złapią cię! — Zaraz idę! — Dalej, wstawaj!

*Pukanie.*

Skryj się w pracowni. — Cierpliwości! — Chryste,  
Co za uparciuch głupi! — Idę, idę!

*Pukanie.*

Któż to tak wali w drzwi? Kto cię przysłał? Czego chcesz?

*Wchodzi Marta.*

MARTA

Wszystko opowiem, jak mnie ojciec wpuści.  
Panienka Julia mnie przysłała.

OJCIEC LAURENTY

Witaj.

MARTA

Ojcze duchowny — mów, ojcze duchowny,  
Gdzie mąż panienki, gdzie panicz Romeo?

OJCIEC LAURENTY

Na ziemi: upił się własnymi łzami.

MARTA

Dokładnie w takim stanie jak panienka,  
W tym samym stanie! Złączeni w boleści!  
Żałosna dola! Panienka tak samo:  
Beczy i chlipie, i chlipie i beczy.  
Wstawaj, paniczu! Wstawaj, bądź mężczyzną.  
Pomyśl o Julii, zrób to dla niej, wstań!  
Po co tak jęczeć bez umiarkowania?

ROMEO *podnosząc się*

Marto —

MARTA

Śmierć, panie, i tak wszystko kończy.

ROMEO

Wspomniałaś Julię? Co z nią? Pewnie myśli,  
Że jestem jakimś nieczułym mordercą,  
Skoro już pierwszy dzień naszego szczęścia  
Splamilem krwią — krwią tak bliską jej własnej?  
Gdzie ona? Jak się czuje? I co mówi?  
Czy ból mój dzieli, gdy wszystko nas dzieli?

MARTA

Nic, tylko szłocha i szłocha, i szłocha;  
To się na łóżko rzuca, to się zrywa,  
To woła: „Tybalt!”, to znowu: „Romeo!”,  
I znowu pada.

ROMEO

Jak gdyby to imię  
Było pociskiem wystrzelonym z działa  
W jej stronę — tak jak przedtem było ostrzem  
Przeklętym, które zabiło Tybalta.  
Och, ojczy, powiedz, gdzie w tym podłym ciele

Ma swą siedzibę imię? Powiedz — pragnę  
Zniszczyć siedlisko zła!

*Usiłuje pchnąć się sztyletem, ale Marta wrywa mu broń.*

OJCIEC LAURENTY

Stój, desperacie!  
Jesteś mężczyzną, lecz tylko z wyglądu;  
Z łez jesteś za to babą, z zachowania —  
Dzikim, bezmyślnym i wściekłym zwierzęciem.  
Nie męski honor, lecz babskie humory  
Tobą kierują — i nie to, co godne  
Człowieka, lecz co bestii jest dogodne!  
Ty mnie naprawdę zadziwiasz. Myślałem,  
Żeś jednak bardziej jest zrównoważony.  
A więc zabiłeś Tybalta? I cóż,  
Teraz chcesz zabić siebie, skazać duszę  
Na potępienie? I zarazem zabić  
Tę, której życie jest tożsame z twoim?  
Czemuż uwłaczasz swemu urodzeniu,  
Niebu i ziemi? Z nich się przecież składasz:  
Wszystkie trzy razem zginęłyby z tobą.  
Znieważasz własne ciało, miłość, rozum:  
Twoje potrójne bogactwo, którego,  
Jak lichwiarz, nie chcesz użyć jak należy —  
Tak, aby z tobą wzrastało i kwitło.  
Twoja foremna postać jest figurą  
Woskową, miękkim pozorem mężczyzny;  
Twoje przysięgi miłosne to kłamstwa,  
Skoro chcesz zabić tę, którejś ślubował;  
Rozum — zwieńczenie ciała i miłości,  
Korona, co im króluje (niestety,  
W tobie króluje opacznie!) — twój rozum  
Niczym proch w rożku żołnierza—niezguły  
Wybuchu z winy twojej własnej głupoty,  
Rwąc cię na strzępy, chociaż miał cię bronić.  
Weź się w garść! Życie chcesz sobie odbierać  
Z powodu Julii? Twoja Julia żyje

I ciesz się z tego. Tybalt chciał cię zabić,  
Ale ty jego zabiłeś. Też dobrze.  
Prawo ci grozi śmiercią, ale w końcu  
Karze wygnaniem tylko. Jeszcze lepiej.  
Spada na ciebie fura błogosławieństw,  
Szczęśliwy los się do ciebie umizga,  
A ty co? — niby zepsuta dziewczucha,  
Nadęty, dąsasz się i nosem kręcisz  
Na dar miłości i uśmiech Fortuny.  
Strzeż się, bo tacy marnie umierają.  
Idźże do żony, jakieś się umówił,  
Dostań się do niej i pociesz niebogę.  
Tylko wyjdź, zanim staną nocne warty,  
Tak, żebyś zdołał dotrzeć do Mantui:  
A tam pomieszkasz, aż w stosownej porze  
Wasze małżeństwo wszystkim się ogłosi,  
Przebłaga Księcia, przeprosi przyjaciół,  
I wtedy wrócisz, z radością sto razy,  
Ba, milion razy większą niż ta rozpacz. —  
Ty, pani, ruszaj przodem. Pozdrów Julię  
Ode mnie. Poradź, żeby dziś nagliła  
Wszystkich do pójścia spać — co zrobią wcześniej,  
Zważywszy przejścia dzisiejszego dnia.  
Romeo zjawi się potem.

MARTA

Jezusie,  
Mogłabym stać tu całą noc i słuchać:  
Tak ślicznie ojciec mówi! Zaraz widać:  
Człowiek uczony, z wyższą dedukacją!  
Powiem panience, że panicz wnet przyjdzie.

ROMEO

Powiedz, że przyjmę wszystkie jej wymówki.

MARTA

Mam tu pierścionelek, który mi kazała  
Dać paniczowi. W drogę, bo już późno.

*Wychodzi.*

ROMEO

Jaką otuchą ten dar mnie napęlnia!

OJCIEC LAURENTY

Idź już, dobranoc; i rzecz najważniejsza:  
Albo wyjdź z miasta przed wieczorną wartą,  
Albo w przebraniu wymknij się o świcie.  
I siedź w Mantui. Znajdę twego sługę —  
Przez niego będę od czasu do czasu  
Przesyłał wieści o każdym pomyślnym  
Obrocie twoich spraw. Robi się późno.  
Daj rękę, chłopcze. Bywaj zdrów. Dobranoc.

ROMEO

Smutno się żegnać — ale za czas krótki  
W płomieniu szczęścia spłoną moje smutki!  
Bywaj zdrów, ojczy.

*Wychodzą.*

## Scena czwarta

*Pokój w domu Capulettich. Wchodzą Capuletti, Pani Capuletti i Parys.*

CAPULETTI *do Parysa*

Tak zaprzątnięci byliśmy nieszczęściem,  
Żeśmy nie mieli czasu mówić z córką.  
A musisz wiedzieć, że bardzo kochała  
Tybalta — zresztą ja także. Niestety,  
Człowiek się rodzi po to, żeby umrzeć.  
Późno już; Julia dziś się nie pokaże.  
Gdyby nie twoje miłe towarzystwo,  
Sam — szczerze mówiąc — byłbym dawno w łożku.

PARYS

W chwili żałoby nie czas na zaloty.  
Dobranoc. Pani, pozdrów ją ode mnie.

PANI CAPULETTI

Dzisiaj zamknęła się sam na sam z bólem,  
Ale pomówię z nią z samego rana.

CAPULETTI

Parysie, myślę... cóż, zaryzykuję:  
Ofiarowuję ci miłość mej córki.  
Sądzę — nie, jestem pewien — że w tej sprawie,  
Jak w każdej innej, będzie mi posłuszna.  
Żono, wstąp do niej, zanim pójdziesz spać;  
Powiedz, że młody Parys się oświadczył —  
Rozumiesz? — i że już w najbliższą środę —  
Zaraz, cóż to dziś mamy?

PARYS

Poniedziałek.

CAPULETTI

A, poniedziałek! To za mało czasu.  
A zatem w czwartek — powiedz jej, że w czwartek  
Z hrabią Parysem stanie przed ołtarzem. —



Dogadza ci ten pośpiech? Będziesz gotów?  
Nie urządzimy żadnej wielkiej fety,  
Ot, paru bliskich przyjaciół — bo w końcu  
Huczne wesele po tak świeżej stracie  
Źle by świadczyło o naszych uczuciach  
Względem Tybalta, bądź co bądź krewniaka.  
Zaprości się więc z pół tuzina gości  
I na tym koniec. Co mówisz na czwartek?

PARYS

Pragnąłbym, aby czwartek był już jutro.

CAPULETTI

Bywaj zdrów zatem. W czwartek się spotkamy. —  
Ty, zanim pójdziesz spać, zajrzyj do Julii,  
Powiedz, że w czwartek ślub: niech się szykuje. —  
Dobranoc, hrabio. — Służba, niech tam który  
Zapali światło w sypialni! — Do licha,  
Jest już tak późno, że można by prawie  
Powiedzieć, że jest wcześnie. No, dobranoc.

*Wychodzą.*

## Scena piąta

*Ogród Capulettich. W oknie ukazują się Romeo i Julia.*

JULIA

Musisz już odejść? Do rana daleko.  
To nie skowronek przecież, ale słowik  
Śpiewał przed chwilą! Niech cię to nie trwoży.  
Wierz mi, to słowik: on co noc tu śpiewa,  
Usadowiony na drzewku granatu.

ROMEO

Nie, to skowronek, ten zwiastun poranku;  
Nie słowik. Spójrz, zazdrosne smugi światła  
Na wschodzie śledzą nas przez szpary w chmurach.  
Jak wypalone świece, gasną gwiazdy  
I dzień pogodny wspina się na palce,  
Próbując wyrzeć nad zamglone góry.  
Jeśli zostanę, zginę. Muszę iść.

JULIA

To światło to nie świt; tak, jestem pewna.  
Słońce śpi jeszcze — wysłało w zastępstwie  
Meteor, aby jak chłopiec z pochodnią  
Świecił ci w nocnej drodze do Mantui.  
Zostań więc jeszcze. Nie musisz odchodzić.

ROMEO

Niech mnie schwytają, niech skazą na śmierć:  
Z ochotą zginę, jeśli tego pragniesz.  
Zgoda — ta szarość to nie oko brzasku,  
To tylko odbłask bladych lic księżycy;  
I nie skowronek bije srebrnym głosem  
W strop nieba ponad naszymi głowami.  
Więcej mnie trzyma tu niż każe odejść.  
Rozkażesz — chętnie przywitam się z śmiercią.  
Kochasz mnie? Powiedz; mamy dużo czasu.

JULIA

Nie, to już ranek! Odejdź stąd, uciekaj!  
To śpiew skowronka dzwoni tak fałszywie  
I razi ucho zgrzytem ostrych dźwięków.  
Mówią, że ptak ten zgrabnie łączy nuty  
W melodię — ale nas dzieli, nie łączy.  
Mówią, że piosnką dodaje otuchy:  
Wolę już rechot bagiennej ropuchy,  
Bo ten śpiew z nieba jest jak zew surowy  
Myśliwskich rogów, co ogłasza łowy  
Na ciebie. Idź już! Coraz bardziej dnieje.

ROMEO

I coraz bardziej zmierzchają nadzieje.

*Wchodzi w pośpiechu Marta.*

MARTA

Panienko!

JULIA

Co się stało?

MARTA

Matka idzie.

Już świt; musicie uważać oboje.

JULIA

Okno, wpuść dzień, a zabierz życie moje!

ROMEO

Pocałuj, muszę iść — już prawie ranek.

*Spuszcza się z okna.*

JULIA

Mój ślubny mąż i sekretny kochanek —  
Taki twój obraz w mych oczach zostanie?  
Pisz do mnie, osłódź listami rozstanie:

Każda minuta będzie się dłużyła  
Jak dzień. O, według takiego rachunku  
Będę już siwa, gdy znowu cię ujrzę!

ROMEO

Bądź zdrowa, moja najdroższa. Nie stracę  
Żadnej okazji do przesłania listu.

JULIA

Czy my się jeszcze kiedyś zobaczymy?

ROMEO

O, tak, na pewno. Wszystkie nasze przejścia  
Będziemy wkrótce wspominać z uśmiechem.

JULIA

Boże, dlaczegoż ja mam złe przeczucia!  
Gdy widzę cię tam w dole, zdaje mi się,  
Jakbym widziała umarłego w grobie.  
Albo mi słabnie wzrok, albo ty zbladłeś.

ROMEO

Ja także widzę bladość w twojej twarzy.  
Smutek wysysa z nas krew. Zostań z Bogiem!

*Wychodzi.*

JULIA

Fortuno, wszyscy mówią, żeś jest zmienna:  
Jeśli tak, czemuś mi dała Romea  
I jego wierność? Bądź zmienną, Fortuno —  
Wtedy rozstanie nie potrwa zbyt długo  
I zwrócisz mi Romea.

*Odchodzi od okna. Wchodzi Pani Capuletti.*

PANI CAPULETTI

Wstałaś, Julio?

JULIA

~~To matka. Czyżby jeszcze się nie kładła?  
Czy może wstała wyjątkowo wcześniej?  
Co ją sprowadza o tak dziwnej porze?~~

PANI CAPULETTI

Cóż to się z tobą dzieje?

JULIA

Źle się czuję.

PANI CAPULETTI

~~Wciąż jeszcze płaczesz po śmierci kuzyna?  
Chcesz go potokiem łez unieść z mogiły?  
I tak nie byłabyś w stanie go wskrzesić.  
Przestań więc. Umiar w żałobie nie świadczy  
O braku serca, ale brak umiaru  
Świadczy poniekąd o braku rozumu.~~

JULIA

Trudno nie płakać, gdy ból wciąż tak żywy.

PANI CAPULETTI

~~Płacząc, ożywisz tylko własny ból,  
Nie umarłego.~~

JULIA

~~Ale żywość bólu  
Ożywia obraz zmarłego w pamięci  
I muszę płakać.~~

PANI CAPULETTI

    Myślę, że ty płaczesz  
Nie tyle nawet z powodu tej śmierci,  
Ile dlatego, że zabójca żyje.

JULIA

Zabójca, matko?

PANI CAPULETTI

Tak, ten łotr Romeo.

JULIA *na stronie*

Jak wiele mil oddziela te dwa słowa! —  
Przebacz mu, Boże — tak jak ja przebaczam  
Z całego serca, chociaż mi to serce  
Napełnił zalem jak nikt inny w świecie.

PANI CAPULETTI

Żałujesz tego, że morderca żyje?

JULIA

Tego, że nie mam go w zasięgu rąk.  
Modłę się o to, aby całą pomstę  
Pozostawiono mnie jednej.

PANI CAPULETTI

O pomstę

Już ty się nie troszcz; my się tym zajmiemy.  
W Mantui, gdzie ten renegat się ukrył,  
Mam zaufanych ludzi: każę komuś  
Z nich poczęstować go takim likworem,  
Że po wypiciu Romeo pośpieszy  
W ślad za Tybaltem. Wtedy znajdziesz spokój.

JULIA

Nie, spokój znajdę dopiero, gdy ujrzę  
Na własne oczy Romea — martwego:  
Tak bardzo serce mi szarpie ból straty.  
Matko, jeżeli tylko znajdziesz kogoś,  
Kto się podejmie podać mu truciznę,  
Ja ją przyrzadzę, aby po wypiciu  
Romeo zasnął naprawdę spokojnie.  
Serce się we mnie wzdryga na sam dźwięk  
Tego imienia; och, że też nie mogę  
Być teraz przy nim i na jego ciele  
Wywrzeć tej zemsty, jaką mi dyktuje  
Miłość — to znaczy, miłość do kuzyna!

PANI CAPULETTI

Znajdź tylko sposób, ja znajdę człowieka.  
A teraz pora na radosne wieści.

JULIA

Trochę radości przyda się w tym smutku.  
Jakież to wieści, matko?

PANI CAPULETTI

Masz doprawdy  
Kochającego ojca, moje dziecko:  
Aby rozproszyć twoje przygnębienie,  
Wyznaczył dzień na wielką radość, której  
Obieśmy nawet się nie spodziewały.

JULIA

Wspaniały pomysł... A cóż to za dzień?

PANI CAPULETTI

Najbliższy czwartek rano, moje dziecko:  
W ten dzień nikt inny, tylko hrabia Parys —  
Tak, ten szlachetny, przystojny młodzieniec —  
Pójdzie wraz z tobą przed ołtarz Kościoła  
Świętego Piotra i tam cię uczyni  
Swoją szczęśliwą i radosną żoną.

JULIA

Radosną żoną? O nie, na samego  
Świętego Piotra i na jego kościół!  
Cóż to za pośpiech? Wyjść za mąż — za kogoś,  
Kto mi się jeszcze nie raczył oświadczyć!  
Proszę cię, matko, błagam, powiedz ojcu,  
Że nie chcę jeszcze ślubu; a gdy zechcę,  
Będę wołała znenawidzonego  
Romea nawet niż tego Parysa,  
Przysięgam! — Też mi radosne nowiny!

PANI CAPULETTI

Idzie twój ojciec. Sama mu to powiedz,  
Ciekawa jestem, jak zareaguje.

*Wchodzą Capuletti i Marta.*

CAPULETTI

Rozumiem, że po zmierzchu rosa pada;  
Ale jak długo po śmierci bratanka  
Będziemy znosić tę ciągłą ulewę?  
Cóż to, dziewczyno, czy ty rynną jesteś?  
Bez przerwy łzami tryskasz, jak deszczówką?  
W jednej niedużej postaci przedstawiasz  
Statek, ocean i wiatr: morze oczu  
(Pozwólmy sobie na to porównanie)  
Wzbiera przyplływem łez; całe ciało  
Chwieje się niczym łódź na słonych falach;  
Westchnienia zaś, jak morskie huragany,  
Idą w zawody z falami i wkrótce  
Wywrócą wątłą łódź do góry dnem,  
~~Jeżeli cisza wreszcie nie nastanie.~~  
Żono, mówiłaś jej o naszych planach?

PANI CAPULETTI

Córka dziękuje, ale nie skorzysta.  
Głupia gęś — w grobie pewnie znajdzie męża!

CAPULETTI

Co? — zaraz — zaraz — czy dobrze rozumiem?  
Jak? nie skorzysta? dziękuje? To taka  
Jej wdzięczność? Tyle ma do powiedzenia  
Rodzicom, którzy smarkuli znaleźli  
Tak świetną partię? Nie jest z tego dumna?

JULIA

Dumna nie jestem, chociaż jestem wdzięczna.  
Jak mam być dumna z daru, który budzi  
We mnie wstręt? Jestem jednak wdzięczna — bowiem,  
Choć niefortunny, dar wziął się z miłości.



CAPULETTI

Jak, jak to, co to? Hola, hola, hola!  
 Babska logika, rozcinanie włosów!  
 „Dumna” — i „wdzięczna” — i jednak „nie dumna” —  
 I „nie, dziękuję”?! Słuchaj no, pannico,  
 Ty mnie nie częstuj tutaj wdzięcznościami,  
 Dumami, ani innymi fumami,  
 Ale zbierz w kupę swoje sprytne klepki  
 I w czwartek masz być z Parysem w kościele,  
 Bo jak nie, to cię na taczce zawiozę!  
 Precz mi stąd, anemiczna mizeroto,  
 Blady wymoczku!

PANI CAPULETTI

Czyś ty zmysły stracił?

Hamuj się!

JULIA

Ojczy, błagam na kolanach:  
 Pozwól powiedzieć chociaż jedno słowo.

CAPULETTI

Nie chcę cię słuchać, ty podłe stworzenie!  
 Raz jeszcze mówię: w czwartek do kościoła,  
 A jak nie — więcej mi się nie pokazuj!  
 Już! Ani słowa! Nie waż się odezwać!  
 Ręce mnie świerzbią. Myśleliśmy, żono,  
 Że nas za skąpo Bóg pobłogosławił  
 Tym jednym dzieckiem — nie, On nas pokarał,  
 Dając nam jedno za wiele! Precz, mówię,  
 Ladaco!

MARTA

Boże, pobłogosław grzesznej!  
 Jakże tak można fukać na biedactwo?

CAPULETTI

Widział kto — nasza wyrocznia mądrości!  
Milcz, moja pani, albo idź pytlować  
Z kumami w kuchni!

MARTA

Nic złego nie mówię.

CAPULETTI

Dobrego też nie!

MARTA

Mówić już nie wolno?

CAPULETTI

Nie trajkocz tyle! Schowaj te mądrości  
Na pogaduszki z innymi babami.  
A przy mnie milcz!

PANI CAPULETTI

Zanadto się unosisz.

CAPULETTI

A jak się nie unosić, rany Boskie!  
W dzień, w nocy, rano, w południe, wieczorem,  
Przy pracy, w wolnej chwili, sam, w kompanii —  
Myślałem, jak ją dobrze wydać za mąż;  
A teraz, kiedym jej nareszcie znalazł  
Narzeczonego z wysokiego rodu,  
Młodego, majątnego, z wykształceniem,  
Pełnego zalet aż po dziurki w nosie,  
A przystojnego, że trudno chcieć lepiej —  
Trzeba, ażeby mi taka mimoza,  
Beksa, nadęta lala, niewdzięcznica  
Odpowiadała na ten uśmiech losu:  
„Nie, nie chcę męża, nie mogę go kochać,  
Jestem za młoda, przepraszam uprzejmie”!  
Ja ci pokażę przeprosiny, jeśli  
Będziesz się dalej upierać, ty kozo!

Skub sobie trawę, gdzie ci się podoba,  
Ale nie w moim domu! Nie ma żartów!  
Czwartek za parę dni. Namyśl się dobrze:  
Zgodzisz się — dam cię w ręce przyjaciela,  
Nie — żebraj, głoduj, umieraj w rynsztoku,  
Bo, jak Bóg w niebie, ja cię wydziedziczam  
I nie uznaję cię odtąd za córkę!  
Wierz mi. I przemyśl to. Zdania nie zmienię.

*Wychodzi.*

JULIA

Czy tam, w obłokach, nie ma litościwych  
Oczu, co wejrzą w głębie mojej męki?  
Przynajmniej ty mnie nie odpychaj, matko!  
Odlóż o miesiąc, o tydzień ten ślub;  
Jeśli nie — pościel mi łożę poślubne  
W mrocznym grobowcu, gdzie już Tybalt leży.

PANI CAPULETTI

Nic do mnie nie mów. Nic ci nie odpowiem.  
Rób, jak chcesz. Ja już swoje powiedziałam.

*Wychodzi.*

JULIA

O, Boże! — Marto, jak temu zapobiec?  
Mam męża, niebo wie o naszym ślubie.  
Rozwiązać jego węzeł mogą tylko  
Same niebiosy — jeśli mi zabiorą  
Męża. Co począć? Marto, pociesz, poradź!  
Że też niebiosy ćwiczą swe fortele  
Na takiej słabej mieszkance tej ziemi  
Jak ja! Co powiesz? Nie masz dla mnie słowa  
Otuchy czy pociechy?

MARTA

Mam, złociutka:  
Romeo siedzi w Mantui; o wszystko

Można iść w zakład, że tu nie powróci,  
Żeby cię zabrać — chyba że ukradkiem.  
A skoro sprawy tak stoją, to chyba  
Najlepiej zrobisz, idąc za hrabiego.  
Oj, śliczny z niego panicz! Ten Romeo  
To przy nim istna ścierka. Orzeł nie ma  
Takich zielonych, jasnych, bystrych oczu  
Jak Parys. Niech mnie licho, jeśli kłamię:  
Będiesz szczęśliwa w tym drugim małżeństwie,  
Bo znacznie lepsze; a choćby nie było,  
To i tak pierwszy twój mąż już nie żyje —  
Tak jakby nie żył: bo choć żyje niby,  
To nie masz z niego żadnego pożytku.

JULIA

Z serca to mówisz?

MARTA

I z serca, i z duszy:  
Jeśli nieprawda, niech mnie licho porwie.

JULIA

Amen!

MARTA

Co „amen”?

JULIA

Dzięki za pociechę.  
Idź, powiedz matce, że poszłam do celi  
Franciszkanina, by się wyspowiadać  
Z tego, że dzisiaj rozzłościłam ojca.

MARTA

A powiem, powiem! Rozsądna dziewczyna.

*Wychodzi.*

JULIA

Przekłeta wiedźma! Ohydna diablica!  
Sama już nie wiem, co w jej słowach było  
Podlejsze: kusić do krzywoprzysięstwa,  
Czy lżyć Romea tym samym językiem,  
Którym go tysiąc razy wychwalała?  
Precz, powiernico! Odtąd nie masz wstępu  
Do mego serca. Ojca Laurentego  
Spytam, czy widzi wyjście z tej udręki.  
Jeśli nie — wyjściem jest śmierć z własnej ręki.

*Wychodzi.*

## Scena pierwsza

*Cela Ojca Laurentego. Wchodzą Ojciec Laurenty i Parys.*

OJCIEC LAURENTY

W najbliższy czwartek? Już? Skąd taki pośpiech?

PARYS

Zależy na tym mojemu teściowi.  
A ja hamować go nie mam powodu.

OJCIEC LAURENTY

No, a co z Julią? Sam mówisz, że nie wiesz,  
Co ona na to. Niewyraźna sprawa.

PARYS

Julia bez końca płacze nad Tybaltem:  
Mało z nią mogłem mówić o miłości.  
Kiedy żałoba, nie czas na amory.  
Teść jednak boi się, że jej zaszkodzi  
Tak całkowite poddanie się smutkom —  
I stąd rozumnie przyspiesza nasz związek.  
Ślub, jego zdaniem, osuszy tę powódź  
Łez: wszystko bierze się z tego, że Julia  
Zbyt wiele czasu spędza w samotności.  
Znasz teraz powód naszego pośpiechu.

OJCIEC LAURENTY *na stronie*

Niestety, znam też powody do zwłoki! —  
Spójrz, hrabio, twoja wybranka nadchodzi.

*Wchodzi Julia.*

PARYS

Witam cię, moja małżonko i pani!

JULIA

Czyżbyśmy byli już ślubem związani?

PARYS

Ślub ma być w czwartek, przecież wiesz, kochanie.

JULIA

Co ma być, będzie.

OJCIEC LAURENTY

I się nie odstanie.

PARYS

Co cię sprowadza? Przyszłaś do spowiedzi?

JULIA

Nie do spowiedzi przed tobą, mój hrabio.

PARYS

Ale w spowiedzi wyznasz miłość do mnie?

JULIA

Och, jakąś miłość zawsze mogę wyznać.

PARYS

Czemuż nie wyznasz mi jej prosto w oczy?

JULIA

Prawdziwsze będzie wyznanie zaoczne.

PARYS

Skoro o oczach mowa — twoje oczy  
Ciągłe, jak widzę, opuchłe od łez?

JULIA

Łzy nie zdołały mnie bardzo oszpecić:  
Twarz mam z natury nie zanadto ładną.

PARYS

Tym zdaniem krzywdzisz ją bardziej niż łzami.

JULIA

Nie jest to krzywda, ale szczerą prawdą:  
Gdy spojrzę w lustro — patrzę prawdzie w oczy.

PARYS

Te oczy i ta twarz należą do mnie;  
Źle o nich mówiąc — krzywdzisz mnie samego.

JULIA

Może to kara za ich przywłaszczenie? —  
Ojczy, czy miałbyś dla mnie chwilę czasu?  
Jeśli nie, przyjdę znowu po nieszporach.

OJCIEC LAURENTY

Pomówmy teraz; widzę, żeś stroskana.  
Hrabio, bądź łaskaw zostawić nas samych.

PARYS

Nie chcę przeszkadzać w posłudze duchownej,  
Boże uchwaj! Julio, w czwartek z rana  
Przyjdę cię zbudzić. Teraz zostań z Bogiem  
I przyjmij jeden czysty pocałunek.

*Wychodzi.*

JULIA

Zamknij drzwi, ojczy — i przyjdź płakać ze mną:  
Nie ma nadziei, wyjścia, ocalenia!

OJCIEC LAURENTY

Znam, Julio, znam przyczynę tej boleści;  
Ja sam już prawie tracę przez to zmysły.  
Słyszę, że musisz — i nieodwołalnie —  
Wziąć w czwartek rano ślub z hrabią Parysem.

JULIA

Nie mów mi, ojczy, że o tym słyszałeś —  
Chyba, że powiesz, jak tego uniknąć.  
Jeśli twój rozum nie dostrzega wyjścia,



Nazwij przynajmniej rozumnym to wyjście,  
 Które zostało mi w ostrzu sztyletu.  
 Bóg złączył serce moje i Romea,  
 Ty powiązałeś stulą nasze dłonie;  
 A skoro moja dłoń nie może przypaść  
 Komu innemu, skoro wierne serce  
 Wie, że się nigdy nie dopuści zdrady —  
 Pozostał sztylet, który unicestwi  
 I dłoń, i serce. Wiek i doświadczenie  
 Chyba ci wskażą jakieś rozwiązanie?  
 Jeśli nie, ujrzysz, jak sztylet wydaje  
 Werdykt w zatargu, jaki mam z nieszczęściem,  
 I jak rozstrzyga spór, z którego nie ma  
 Honorowego wyjścia. Mów coś, poradź,  
 Nie każ mi czekać: śpieszno mi do grobu,  
 Jeśli nie znajdziesz innego lekarstwa.

OJCIEC LAURENTY

Wstrzymaj się, córko. Widzę cień nadziei —  
 Chociaż nadzieja ta każe się uciec —  
 Do środków równie złowieszczych jak to,  
 Czemu pragniemy zaradzić. Jeżeli  
 Dla uniknięcia małżeństwa z Parysem  
 Masz dosyć siły woli, by się zabić —  
 Znaczy to, że się zapewne odważysz  
 Zapobiec hańbie w mniej tragiczny sposób:  
 Czymś, co jedynie przypomina śmierć.  
 Jeśli cię na to stać, znajdę metodę.

JULIA

O, wszystko, tylko nie ten ślub z Parysem:  
 Rozkaż mi skoczyć z blanków wieży, w nocy  
 Wyjść na gościniec, gdzie grasują zbójcy,  
 Zstąpić do groty pełnej zmij lub klatki  
 Dzikich niedźwiedzi, spędzić noc w kostnicy  
 Wśród klekotania szkieletów, cuchnących  
 Piszczeli, żółtych, wyszczerbionych czaszek;  
 Lub wtrąć mnie w świeżo wykopany grób,

Gdzie leżą zwłoki okryte całunem —  
Dawniej na samą wzmiankę o czymś takim  
Dreszcz mnie przeszywał, dziś jednak nie zadrzę  
I zrobię wszystko, byleby nie skalać  
Wierności wobec mojego miłego.

OJCIEC LAURENTY

Zaczekaj zatem. Wróc teraz do domu,  
Udaj wesołość, zgódź się na małżeństwo.  
Czwartek pojutrze. Śpij jutrzejszej nocy  
Sama — niech Marta śpi w innej sypialni.  
Kiedy się znajdziesz w łóżku, weź tę fiolkę  
I wypij wywar w niej zawarty; wtedy  
Poczujesz w żyłach prąd sennego chłodu;  
Puls ci ustanie; oddech, ciepło ciała  
Nie zdradzą ani przez chwilę, że żyjesz;  
Róże policzków i ust zwiędną w popiół;  
Jak okna sklepu w porze zmierzchu, oczy  
Skryją się za okiennicami powiek;  
Żywotnej siły pozbawione ciało  
Stanie się sztywne i zimne jak zwłoki;  
I w tym letargu, w tej pozornej śmierci  
Prześpisz czterdzieści dwie godziny, po czym  
Zbudzisz się, jakby z przyjemnego snu.  
Kiedy natomiast, jeszcze w czwartek rano,  
Przyjdzie pan młody — znajdzie cię nieżywą.  
Wtedy, jak każe zwyczaj, przyodzianą  
W najlepsze suknie, w odsłoniętej trumnie,  
Krewni zanosą cię do starej krypty,  
Gdzie leżą zmarli z rodu Capulettich.  
Powiadomiony tymczasem listownie  
O naszym planie, przybędzie Romeo;  
Zjawi się ze mną w krypcie; zaczekamy,  
Aż się obudzisz, i tej samej nocy  
Przemkniecie się z Romeem do Mantui.  
To cię uchroni od hańby — o ile  
Słabość, lęk, albo niezdecydowanie  
Nie każą ci się strachliwie wycofać.

JULIA

Daj mi tę fiolkę! Nie mów mi o strachu!

OJCIEC LAURENTY

Weź ją więc, schowaj i wracaj do domu;  
Bądź niewzruszona w swym postanowieniu,  
A wszystko pójdzie gładko. Prześlę zaraz  
List do Romea przez któregoś z braci.

JULIA

Bywaj zdrow, ojczy. Sił mi trzeba sporo —  
Lecz moje siły z miłości się biorą.

*Wychodzą.*



## Scena druga

*Pokój w domu Capulettich. Wchodzą Capuletti, Pani Capuletti, Marta i Słudzy.*

CAPULETTI

Zaprościć tylko tych, co są na liście.

*Wychodzi jeden ze Sług.*

A ty idź, najmij z dwudziestu kucharzy.  
Byle wytrawnych!

SŁUGA

Kiepski żaden z nich nie będzie, proszę łaski pana, bo sprawdzę każdego, czy umie sobie oblizywać palce.

CAPULETTI

A cóż to za sprawdzian?

SŁUGA

No bo, jak to mówią, zły to kucharz, co sobie palców przy gotowaniu nie oblizuje. Więc jak któryś nie będzie umiał oblizać palca, to go nie biorę.

CAPULETTI

A idźże sobie!

*Sługa wychodzi.*

Nie starczy czasu na przygotowania.  
Co z Julią? Jest u Ojca Laurentego?

MARTA

Tak.

CAPULETTI

Może uda mu się coś z nią wskórać.  
Co to za krnąbrne, grymaśne ladaco!

*Wchodzi Julia.*

MARTA

Jaka wesoła wraca od spowiedzi!

CAPULETTI

I cóż, złośnico? Gdzieżeś się włóczyła?

JULIA

Byłam tam, ojczy, gdzie mnie nauczono  
Skruchy za upór i nieposłuszeństwo  
Wobec twej woli. Świątobliwy Ojciec  
Laurenty kazał mi paść na kolana,  
Prosić o przebaczenie. Wybacz, błagam!  
Już nigdy, nigdy ci się nie sprzeciwię.

CAPULETTI

Posłać tam zaraz po hrabiego! Migiem!  
Trzeba ten węzeł związać jutro rano.

JULIA

Hrabia był również w celi Laurentego:  
Nie przekraczając granicy skromności,  
Staralam się okazać, że mu sprzyjam.

CAPULETTI

To co innego! To rozumiem! Wstań.  
Tak być powinno. Posłać po hrabiego!  
Ruszaj, łazęgo, sprowadź go tu zaraz!  
Ten mnich to święty człowiek — Bóg mi świadkiem,  
Cała Werona wiele mu zawdzięcza.

JULIA

Marto, chodź ze mną, proszę, do pokoju;  
Musisz mi pomóc wybrać odpowiedni  
Strój i ozdoby na jutrzejszy dzień.

PANI CAPULETTI

Zdążysz. Ślub przecież dopiero we czwartek.

CAPULETTI

Nie, idź jej pomóc, idź. Ślub będzie jutro.

*Julia i Marta wychodzą.*

PANI CAPULETTI

Nie zdąży się wszystkiego przygotować.  
Przecież to prawie noc!

CAPULETTI

  Już ty się nie martw,  
Ja się tym zajmę, wszystko będzie dobrze,  
Możesz mi wierzyć. Idź teraz do Julii,  
Pomóż jej z tymi łażkami. Co do mnie,  
Nie kładę się dziś spać; zostaw mnie tutaj.  
Choć raz wystąpię w roli gospodyni!  
Hej, jest tam który! Wszyscy się rozeszli?  
To nic, sam pójde uprzedzić hrabiego,  
Że ślub jest jutro. Lekko mi na sercu:  
Opamiętała się, uparta koza!

*Wychodzą.*

## Scena trzecia

*Pokój Julii. Wchodzą Julia i Marta.*

JULIA

Tak, ta sukienka najlepsza. A teraz  
Bądź taka dobra i zostaw mnie samą:  
Muszę się długo modlić — prosić niebo,  
Aby zesłało uśmiech na mnie grzeszną,  
Choć tyle we mnie przekory i złości.

*Wchodzi Pani Capuletti.*

PANI CAPULETTI

Masz już, co trzeba? Mogę ci w czymś pomóc?

JULIA

Dziękuję, matko, nie; wybrałam wszystko,  
Co mi potrzebne na jutrzejszy ślub.  
Chciałabym teraz, jeżeli pozwolisz,  
Pozostać sama; wy z Martą z pewnością  
Macie dziś w nocy mnóstwo do zrobienia  
Przed tym tak nagłym weselem.

PANI CAPULETTI

Dobranoc.

Idź spać, odpocznij; to ci dobrze zrobi.

*Pani Capuletti i Marta wychodzą.*

JULIA

Żegnajcie! Bóg wie, kiedy was zobaczę.  
Zimny dreszcz trwogi przebiega przez żyły  
I mrozi we mnie całe ciepło życia.  
Przywołam je z powrotem, będzie raźniej:  
Marto! — Nie, co ja robię? To bez sensu.

W tej strasznej scenie jest rola dla jednej  
Tylko aktorki. Gdzież ta fiolka? Jest.  
Dobrze, a jeśli wywar nie podziała?  
Czy w takim razie jutro biorę ślub?  
Nie, nie. Ten płyn mnie zbawi. To — niech czeka.

*Odkłada sztylet.*

A jeśli to trucizna, którą mnich  
Podsunał mi podstępnie? Gdybym zmarła,  
Mógłby uniknąć odpowiedzialności  
Za to, że wcześniej dał mi ślub z Romeem.  
To też możliwe; ale chyba jednak  
Nie: dał mi tyle dowodów dobroci!  
Zaraz... a jeśli ocknę się w grobowcu,  
Zanim Romeo przyjdzie na ratunek?  
Co wtedy? Boże, to byłoby straszne!  
Przecież w tej krypcie mogę się udusić:  
Zgniłym powietrzem zionącym z jej ust  
Nie da się pewnie oddychać — Romeo  
Znajdzie mnie martwą. A choćbym i żyła,  
Czyż sama wizja śmierci, noc i groza  
Grobowca, tego pradawnego lochu,  
Gdzie gromadziły się przez setki lat  
Kości pradziadów — gdzie skrwawiony Tybalt  
Legł tak niedawno, a już pod całunem  
Gnić począł — gdzie się w pewnych porach nocy  
Schodzą podobno duchy — czy to wszystko  
Nie spowoduje, że kiedy się zbudzę  
W smrodzie rozkładu, w krzykach przeraźliwych,  
Przyprawiających o utratę zmysłów  
Jak krzyk wyrwanej z ziemi mandragory —  
Czy wtedy, w całej tej ohydnej zgrozie,  
Nie oszaleję? Tak, może w obłędzie  
Będę się bawić szkieletami przodków,  
Z nieszczęsnych zwłok Tybalta ściągnę całun,  
Albo w napadzie szału chwycę puszczel



Któregoś z moich wielkich antenatów  
I, jak maczugą, strzaskam własną czaszkę?  
O Boże, widzę już, jak duch Tybalta  
Ściga Romea, za to, że mu ciało  
Przebił rapierem. Wstrzymaj się, Tybalcie!  
Romeo, spełniam ten toast dla ciebie!

*Pada na ukryte za zasłonami łóżko.*

## Scena czwarta

*Pokój w domu Capulettich. Wchodzą Pani Capuletti i Marta.*

PANI CAPULETTI

Masz klucze; skocz i przynieś więcej przypraw.

MARTA

Piekarz chce pigw i daktyli do ciasta.

*Wchodzi Capuletti.*

CAPULETTI

Ruszać się, ruszać, ruszać! Trzecia rano!  
Dzwon bił na jutrznię, drugi kogut zapiał.  
Ty, moja pani, dopilnuj pasztetów  
I nie skąp w niczym.

MARTA

A idź pan do łóżka;  
Też coś — będzie się bawił w gospodynię!  
Jutro pan będziesz chory z niewyspania.

CAPULETTI

Gdzież tam! Zdarzało mi się zarwać noc  
Dla spraw mniej ważnych, a czułem się świetnie.

PANI CAPULETTI

Prawda, że w swoim czasie wiele nocy  
Przełajdaczyłeś; lecz teraz ja czuwam,  
Żeby nie było takiego czuwania.

*Pani Capuletti i Marta wychodzą.*

CAPULETTI

Ech, zazdrośnica!

*Wchodzą służby z roznami, drewnem i koszykami.*

A wy co tam macie?

PIERWSZY SŁUGA

Kazali zanieść do kuchni, sam nie wiem.

CAPULETTI

Śpieszcie się, śpieszcie!

*Pierwszy Sługa wychodzi.*

To drewno za mokre.

Piotr ci pokaże, gdzie są suche kłody.

DRUGI SŁUGA

Piotr niepotrzebny; z tego niewyspania  
Łeb mam jak kłoda, więc sam kłody znajdę.

CAPULETTI

Dobrześ powiedział, błźnie! W samej rzeczy:  
Łeb masz jak kłoda — jesteś tępy kloc.

*Drugi Sługa i inni wychodzą.*

Na Boga Ojca, toż to już dzień biały!  
Hrabia za chwilę zjawi się z muzyką,  
Tak zapowiadał.

*Słychać muzykę.*

Proszę, już go słychać.

Hej, żono, Marto! Prędzej, chodźcie! Marto!

*Wchodzi Marta.*

Leć budzić Julię; a ubierz ją schludnie.  
Ja pogawędzę z Parysem. No, dalej,  
Ruszaj się, śpiesz się! Pan młody się zjawił.  
Śpiesz się, powiadam.

*Wychodzi.*

## Scena piąta

*Pokój Julii. Wchodzi Marta.*

MARTA

Panienko! Julciu! Ta ma sen dopiero.  
No już, gołąbku! ~~Wstawaj! Co za śpioch.~~  
No, panienczko! Budź się, panno młoda!  
Co, ani mru-mru? Pewnie śpisz na zapas;  
Oj, wyśpij, wyśpij się za cały tydzień,  
Bo ci zaręczam, że następnej nocy  
Oka nie zmrużysz: hrabia zadba o to.  
Odpuść mi Panie, amen. Twardo śpi!  
Trzeba ją zbudzić. Panienko, panienko!  
Niech no cię hrabia tak zastanie w łóżku —  
~~To się dopiero poderwiesz. Co, prawda?~~

*Rozsuwa zasłony.*

W sukni? Ubrała się i znów do łóżka?  
Trzeba cię zaraz obudzić. Panienko!  
O, Jezus Maria! Panienska nieżywa!  
Na pomoc! ~~Czego ja dożyłam!~~ Dajcie  
Kropelkę okowity! Gdzie są państwo?

*Wchodzi Pani Capuletti.*

PANI CAPULETTI

Co to za krzyki?

MARTA

O, straszna godzino!

PANI CAPULETTI

Mów, co się stało?

MARTA

Patrz, pani! Nieszczęście!

PANI CAPULETTI

Biada mi! Dziecko, pociecho jedyna!  
Wstań, otwórz oczy, bo umrę tu z tobą!  
Ratunku! Wołajże kogoś na pomoc!

*Wchodzi Capuletti.*

CAPULETTI

No, co z tą Julią? Pan młody już przyszedł.

MARTA

Panienka zmarła, nie żyje, o Boże!

PANI CAPULETTI

Boże mój, Julia nie żyje, nie żyje!

CAPULETTI

Co?! Dajcie spojrzeć. Och, zimna jak lód;  
Nie czuję pulsu; cała zeszywniała;  
~~Tych warg od dawna nie ogrzewa oddech.~~  
~~Śmierć ją zmroziła, jakby szron przedwczesny~~  
~~Pokrył najśłodszy kwiatek z całej łąki.~~

MARTA

Co za dzień straszny!

PANI CAPULETTI

Nieszczęsna godzina!

CAPULETTI

Ta strata, zamiast wyrwać mi ryk z piersi,  
Język odrętwia i głos w gardle dławi.

*Wchodzą Ojciec Laurenty i Parys, za nimi Muzykanci.*

OJCIEC LAURENTY

Cóż panna młoda? gotowa do wyjścia?

CAPULETTI

Gotowa odejść, ale nie powrócić.  
Synu mój, w nocy przed weselnym dniem  
Śmierć nawiedziła łóżko panny młodej.  
Śmierć ją posiadała — na zawsze, niestety!  
Śmierć jest dziś moim zięciem i dziedzicem,  
Mężem mojego dziecka. Kiedy umrę,  
Wszystko zostawię Śmierci — całe życie.

PARYS

Czyż po to wyczekiwałem poranku,  
By w jego świetle ujrzeć taki widok?

PANI CAPULETTI

Przeklęty, podły, nienawistny dniu!  
Godzino czarna, jakiej nigdy dotąd  
Czas nie doświadczył w swej wiecznej pielgrzymce!  
Mieć tylko jedną, jedyną pociechę,  
Jedno najmiłsze, kochające dziecko —  
I to biedactwo sroga Śmierć zabiera!

MARTA

Biada nam! Straszny, straszny, straszny dzień!  
Dzień taki smutny, taki żałośliwy —  
Nie wiem, czy kiedy taki dzień przeżyłam!  
Co za dzień! Co za dzień! Oj, co za dzień!  
Widział kto taki dzień pełen nieszczęścia,  
Taki okropny, czarny, bezlitosny?

PARYS

O, zdrado, krzywdo, ciosie, męko, zgonie!  
Nikczemna Śmierci — tak podejść, oszukać,  
Tak mnie okrutnie odtrącić, powalić!

Najdroższa! życie moje! już nie życie,  
A jednak nawet w śmierci ukochana!

CAPULETTI

O, wzgardo, szale, gniewie, bólu, zgrozo!  
Nielitościwy Czasie — czemuś przyszedł  
Szczęście weselne obrócić w cierpienie?  
O, dziecko! duszo moja — już nie dziecko,  
Już tylko zwłoki — grób mojej radości!

OJCIEC LAURENTY

Dość już! Gdy bieda, nie wystarczy biadać.  
To piękne dziewczę należało do was,  
Lecz i do niebios — niebiosą ją teraz  
Posiadły całą; i tym lepiej dla niej.  
Śmiertelne ciało nie umknęło śmierci,  
Lecz nieśmiertelnej duszy niebo dało  
Wieczysty żywot. Pragnęliście dla niej  
Raju na ziemi, wywyższenia w życiu:  
I oto teraz, gdy jest wywyższona  
Ponad obłoki, do rajów w niebiesiech —  
Teraz płaczecie? Cóż to za kochanie —  
Szaleć z boleści, gdy dziecko się stanie  
Szczęśliwsze? Dobrze wyjść za mąż nie znaczy  
Żyć długie lata w zameściu, lecz raczej  
Prosto do nieba pójść w ślubnym welonie.  
Osuszcie łzy i dajcie ciału w dłonie  
Na znak pamięci rozmarynu ziele,  
Odziejcie pięknie i złożcie w kościele.  
Choć żal nasz głosu rozumu nie słucha,  
Rozum wie, że po łzach przyjdzie otucha.

CAPULETTI

Wszystko gotowe było na wesele —  
Teraz posłużyć musi pogrzebowi:  
Cmentarne dzwony zastąpią muzykę,

Cisza nad grobem — gwar weselnych gości,  
Żałobne pieśni zabrzmia zamiast hymnów,  
A ślubny bukiet przyozdobi trumnę.  
Każda rzecz stanie się swym przeciwieństwem.

OJCIEC LAURENTY

Wyjdźcie oboje — i ty także, hrabio.  
Bądźcie gotowi odprowadzić wkrótce  
Ciało umarłej na wieczny spoczynek.  
Niebiosa karzą was za jakieś grzechy;  
Nie sprzeciwiajcie się więc woli Bożej  
Choć teraz — aby nie było wam gorzej.

*Położywszy rozmaryn na ciało Julii i zasunąwszy zastony, wychodzą wszyscy prócz Marty i Muzykantów.*

PIERWSZY MUZYKANT

To i my dudy w miech i marsz do domu.

MARTA

Tak, moi złoci, pakujcie piszczalki,  
Sami widzicie: wszyscy w domu płaczą.

*Wychodzi.*

PIERWSZY MUZYKANT

Przez to, że płaczą, pewnie nie zapłacą.

*Wchodzi Piotr.*

PIOTR

Muzykanci kochani, zróbcie mi tę przyjemność, zagrajcie piosenkę „Lekko mi na sercu”.

PIERWSZY MUZYKANT

Dlaczego akurat „Lekko mi na sercu”?



PIOTR

Bo akurat serce mi w środku gra piosenkę „Troska serce gniecie”. Zagrajcie mi na pocieszenie jakąś wesołą sarabandę.

PIERWSZY MUZYKANT

Sam jesteś sarabanda. Nie czas teraz na tańce.

PIOTR

Nie zagrajcie?

PIERWSZY MUZYKANT

Nie.

PIOTR

Czekajcie, zapłacę wam za to.

PIERWSZY MUZYKANT

Przynajmniej ktoś w tym domu jest skory do płacenia.

PIOTR

Nie cieszcie się. Zapłacę nie pieniędzmi, ale pięknym za nadobne.

PIERWSZY MUZYKANT

Rzeczywiście, bardzo z ciebie nadobny fagas.

PIOTR

Ten fagas potrafi zagrać do tańca, aż wam w pięty pójdzie. Posiekam wam całe nuty w ćwiartki, żebyście cztery razy szybciej zmykali. Klarnety zakichane! Fagoty zafajdane! Chcecie, żebym wam sztyletem podrygował?

DRUGI MUZYKANT

Schowaj lepiej ten swój scyzoryk, a wyciągnij dowcip.

PIOTR

Nie bój się, dowcip mam też ostry. Sztylet schowam, a przyspilię was dowcipem. Odpowiedzcie mi, jak na mężczyzn przystało.

„Gdy z piersi żal wydziera jęki,  
I płyną łzy po licu bladym,  
Wtedy muzyki srebrne dźwięki...” —

Dlaczego „srebrne dźwięki”? Z jakiej racji „muzyki srebrne dźwięki”? Co powiesz, Grzegorz Brzdąkało?

PIERWSZY MUZYKANT

Pewnie dlatego, że srebro wydaje miły dźwięk.

PIOTR

Nieźle! A co ty na to, Pafnucy Piszczalo?

DRUGI MUZYKANT

Po mojemu dlatego „srebrne dźwięki”, bo klarnety mają srebrne klapki.

PIOTR

Też nieźle! A ty, Kleofasie Klawicymbale?

TRZECI MUZYKANT

A, ja tam nie wiem, co powiedzieć.

PIOTR

Przepraszam, zapomniałem, że jesteś tenorem. Ja ci powiem. Dlatego „muzyki srebrne dźwięki”, że złotem nikt przy zdrowym rozumie muzykantowi nie zapłaci.

„Wtedy muzyki srebrne dźwięki  
Sercu kojącym są okładem.”

*Wychodzi.*

PIERWSZY MUZYKANT

Zaraza, nie człowiek!

DRUGI MUZYKANT

Co się przejmujesz bęcwałem. Chodźcie, wmieszamy się pomiędzy żałobników i doczekamy jakoś do obiadu.

*Wychodzą.*

## Scena pierwsza

*Ulica w Mantui. Wchodzi Romeo.*

ROMEO

Jeżeli wierzyć w to, co sny zwiastują,  
Wkrótce posłyszę jakieś dobre wieści.  
Serce mi bije swobodnie i lekko,  
I tak się czuję od rana, jak gdyby  
Radosny nastrój niósł mnie ponad ziemią.  
A śniło mi się, że moja jedyna  
Zjawiała się i zastała mnie w trumnie  
(Dziwny sen: zmarłem, ale mogłem myśleć!),  
Lecz pocałunkiem tchnęła we mnie tyle  
Życia, że w jednej chwili wstałem z martwych,  
Nie dosyć tego — zostałem cesarzem!  
Och, jakim szczęściem jest miłość na jawie,  
Gdy już sen o niej sprawia taką rozkosz!

*Wchodzi Baltazar, sługa Romea, w butach do konnej jazdy.*

Baltazar! Wieziesz mi wieści z Werony?  
Może masz jakiś list od zakonnika?  
Jak moja pani? A czy ojciec zdrów?  
Jak się ma Julia? Pytam o to znowu:  
Bo jeśli mojej Julii nic nie trapi,  
Jestem spokojny.

BALTAZAR

Bądź zatem spokojny,  
Bo twojej pani dziś już nic nie trapi.  
Ciało jej leży w rodzinnym grobowcu,  
A dusza gości między aniołami.  
Widziałem orszak, co niósł ją do krypty,  
I pierwszą pocztą pogałem do ciebie.  
Wybacz mi, panie, tak straszne nowiny:  
Lecz, złe czy dobre, kazałeś mi przecież  
Natychmiast cię o wszystkim powiadamiać.

ROMEO

Czyż to możliwe? Przeklinam was, gwiazdy! —  
Przynieś mi papier i atrament — wiesz,  
Gdzie mieszkam. Zamów na dziś wieczór konie —  
Wyjeżdżam.

BALTAZAR

Panie, błagam — cierpliwości.  
Wzburzony jesteś, zbladłeś i nieszczęście  
Z oczu ci patrzy.

ROMEO

Mylisz się, naprawdę.  
Idź już i zaraz zrób, co ci kazałem.  
Ojciec Laurenty nie wręczył ci listu?

BALTAZAR

Nie, panie.

ROMEO

Mniejsza z tym. Ruszaj na pocztę,  
Zamów te konie. Wkrótce cię odnajdę.

*Baltazar wychodzi.*

Tak, Julio, spoczne przy tobie dziś w nocy.  
Sposób się znajdzie. ~~Jak prędko zły zamiar~~  
Wkrada się w umysł, co stracił nadzieję!  
Pamiętam — mieszka tu pewien aptekarz,  
Gdzieś niedaleko; widziałem niedawno,  
Jak z nasepioną brwią, w podartych łachach,  
Przebierał w ziołach. Wyglądał mizernie,  
Skóra i kości: widać żyje w nędzy.  
W lichym sklepiku złotych wisiał na ścianie,  
Dziwaczne ryby, wypchany krokodyl;  
Półki zdobiła zebracza kolekcja  
Pustych pudełek, skorup, stęchłych nasion,  
Pęcherzy, sznurków, zwiędzłych pachnideł —  
Śmieci stojące w odstępach, żałośnie  
Symulujące obfitość towarów.

Widząc tę biedę, pomyślałem sobie:  
„Chociaż w Mantui grozi śmierć za sprzedaż  
Trucizny — gdyby ktoś jej potrzebował,  
W tym obszarpańcu znalazłby sprzedawcę”.  
Jakbym przeczuwał swą własną potrzebę!  
Dziś ów głodomór musi jej zaradzić.  
Było to chyba tutaj; tak, w tym domu.  
Sklepek zamknięty; prawda, dzisiaj święto.  
Hej, aptekarzu!

*Wchodzi Aptekarz.*

APTEKARZ

Kto tak głośno woła?

ROMEO

Zbliż się, człowieku. Widzę, żeś jest w nędzy.  
Mam tu czterdzieści dukatów — chcę za to  
Fiolkę trucizny o szybkim działaniu:  
Czegoś, co mógłby zażyć ktoś doszczętnie  
Znużony życiem; co w mig się rozejdzie  
Po wszystkich żyłach, zwali ciało z nóg  
I z piersi wyrwie mu ostatnie tchnienie  
Z taką nagłością, z jaką wybuch prochu  
Wyrzuca pocisk z morderczego działa.

APTEKARZ

Mam takie środki; ale tu, w Mantui,  
Gardłem się płaci za sprzedaż trucizny.

ROMEO

Jak to — na samym dnie nędzy, w upadku,  
Boisz się umrzeć? Głód z twarzy ci patrzy,  
Z oczu wygląda czczość i poniżenie,  
A grzbiet okrywa pogardzany łach:  
Świat ci nie sprzyja, ani jego prawo;  
Nie masz w tym świecie prawa do dostatku;  
Pogwałć więc prawa, przyjmij to — wyjdź z nędzy.

APTEKARZ

Pcha mnie do zgody nędza, nie sumienie.

ROMEO

Toteż twej nędzy płacę — nie sumieniu.

APTEKARZ

Rozpuść ten proszek w jakimkolwiek płynie:  
Kiedy wypijesz — chociażbyś miał siłę  
Dwudziestu mężczyzn, w jednej chwili skonasz.

ROMEO

Masz swoje złoto — truciznę dusz, gorszą  
I stosowaną w tym złym świecie częściej  
Niż twoje nędzne, zakazane proszki.  
Nie ty — ja tobie sprzedałem truciznę.  
Żegnaj. Masz za co jeść — utyj choć trochę.  
Mnie zaś trucizna zbawi, a nie zgubi:  
Śmierć po raz drugi z Julią mnie zaślubi.

*Wychodzą.*

## Scena druga

*Cela Ojca Laurentego. Wchodzi Brat Jan.*

BRAT JAN

Ojcie Laurenty! Świątobliwy ojcie!

*Wchodzi Ojciec Laurenty.*

OJCIEC LAURENTY

Słuch mnie nie myli, to głos brata Jana!  
Witaj! I cóż w Mantui? Jak Romeo?  
Jeśli napisał coś, pokaż mi list.

BRAT JAN

Ba, otóż właśnie: poszedłem poszukać  
Franciszkanina, który miał iść ze mną;  
Gdy go znalazłem, wracał od chorego;  
Nagle wpadają miejscy pachołkowie:  
Podejrzewając, żeśmy obaj byli  
W domu zarazy, opieczętowują  
Drzwi i nie dają nam cały dzień wyjść.  
Nie mogłem się więc udać do Mantui.

OJCIEC LAURENTY

Ha, w takim razie mój list do Romea —

BRAT JAN

Nie został doręczony; oto on.  
Nie mogłem nawet poszukać posłańca,  
Żeby odesłać ci list: tak się wszyscy  
Bali zarazy.

OJCIEC LAURENTY

    Co za traf fatalny!  
To nie był pierwszy lepszy list; to była  
Wiadomość wielkiej wagi. Groźne skutki  
Może mieć to, że Romeo jej nie zna.



Idź, bracie Janie, postaraj się zdobyć  
Żelazny łom i przynieś mi go zaraz.

BRAT JAN

Dobrze.

*Wychodzi.*

OJCIEC LAURENTY

Więc muszę sam pójść do grobowca.  
Julia przebudzi się w ciągu trzech godzin.  
Gniewać się będzie na mnie, żem Romea  
Nie powiadomił o tym, co się stało;  
Ale zawezwę go znowu z Mantui,  
A ją tymczasem ukryję w klasztorze.  
Biedactwo, w grobie za życia — mój Boże!

*Wychodzi.*

## Scena trzecia

*Cmentarz w Weronie. Wchodzą Parys i Paż z naręczami kwiatów.*

PARYS

Daj mi pochodnię, chłopcze, a sam odejdź.  
Nie, zgaś ją — nie chcę, żeby mnie widziano.  
Połóż się pod tym cisem na uboczu  
I trzymaj ucho przy ziemi — w ten sposób  
Jeśli ktoś wstąpi na cmentarny grunt  
(Rezonujący, bo pełno w nim grobów),  
Usłyszysz odgłos kroków. Wtedy gwizdnij,  
Aby mnie ostrzec, że ktoś się przybliży.  
Daj mi te kwiaty. Idź, zrób jak kazałem.

PAŻ *na stronie*

Jakoś nieswojo tkwić samemu w nocy  
Wśród grobów; ale trzeba być mężczyzną.

*Oddala się.*

PARYS

Kwiecie nieżywy, kwiaty ci przynoszę  
Na ślubne łożo, pod baldachim ziemi,  
I co noc wodą ożywczą je zroszę  
Lub, gdy jej zbraknie, łzami serdecznymi.  
Noc w noc egzekwie nad tobą powtórzę,  
Na grób twój lejąc łzy i sypiąc róże.

*Paż gwizdże.*

Chłopiec ostrzega: ktoś się zbliży w mroku.  
Czyja to stopa ośmiela się wkraczać  
W krąg mej miłości wiernej i żałoby?  
Widać pochodnię! Skryję się w głąb nocy.

*Oddala się. Wchodzi Romeo i Baltazar z pochodnią, oskardem i łomem.*

ROMEO

Podaj mi oskard i łom. Weź ten list:  
Wręczysz go skoro świt mojemu ojcu.

Daj mi pochodnię. I o jedno proszę:  
Jeśli ci życie miłe, nie przeszkadzaj  
W tym, co mam zamiar uczynić; cokolwiek  
Usłyszysz, ujrysz — trzymaj się z daleka.  
Do tego łoża śmierci pragnę wstąpić,  
Aby raz jeszcze zobaczyć twarz Julii,  
Lecz głównie po to, aby zdjąć z jej palca  
Kosztowny pierścień — jest mi on potrzebny  
W pewnej prywatnej sprawie. A więc odejdz.  
Jeśli ciekawość przygna cię z powrotem  
I każe śledzić, co tu będę robił,  
Jak mi Bóg miły, rozszarpie cię w strzępy  
I rzucę w paszczę niesytego grobu.  
Nic mnie nie wstrzyma — jest we mnie w tej chwili  
Nieubłagana dzikość, okrutniejsza  
Niż głodny tygrys lub ryczące morze.

BALTAZAR

Odejdę, panie, nie będę przeszkadzał.

ROMEO

Okazesz mi tym przyjaźń. Weź to; żegnaj  
I żyj szczęśliwie. Dobry z ciebie chłopak.

BALTAZAR *na stronie*

Tak czy siak, schowam się gdzieś na uboczu.  
Dziwny mu jakiś zamiar patrzy z oczu.

*Oddala się.*

ROMEO

Żarłoczne trzewia śmierci, nasycone  
Najcudowniejszym owocem tej ziemi!  
Rozewrę siłą zgniłe szczęki grobu  
I jeszcze jeden kęs wtłoczę mu w gardziel.

*Otwiera grobowiec.*

PARYS

To przecież on, ten zuchwalec Montecchi:  
Zabił kuzyna Julii — z żalu po nim  
Biedactwo zmarło — a teraz powraca  
Z wygnania po to, żeby jeszcze w grobie  
Bezczęścić zwłoki. Nie pozwolę na to.  
Stój, ty łajdaku! Przerwij świętokradztwo!  
Chcesz sięgnąć zemstą nawet w głąb mogiły?  
Podły banito, jesteś moim jeńcem;  
Poddaj się i chodź ze mną; śmierć cię czeka.

ROMEO

Czeka mnie w samej rzeczy; po nią właśnie  
Tutaj przyszedłem. Nie rozdrażniaj kogoś,  
Kto nie ma nic do stracenia. Idź precz.  
Pomyśl, kto tutaj leży i dlaczego.  
Chcesz ściągnąć nowy grzech na moją głowę,  
Doprowadzając mnie do szafu? Odejdź!  
Na Boga, życzę ci lepiej niż sobie:  
Przyszedłem tutaj, aby siebie zgładzić,  
Nie ciebie. Odejdź! Żyj — i opowiadaj,  
Że ci szaleniec podarował życie.

PARYS

Za nic mam wszystkie twoje groźby. Żądam,  
Abyś się poddał, złoczyńco.

ROMEO

Więc jednak  
Stajesz na mojej drodze? Broń się zatem.

*Walczą.*

PAŹ

O Boże, walczą! Biegnę po strażników.

*Wybiega. Parys pada.*

PARYS

Zabiłeś mnie! Jeśli masz w sercu litość,  
Otwórz grobowiec i złoż mnie przy Julii.

*Umiera.*

ROMEO

Zrobię to. Niech się przyjrzę twojej twarzy...  
To hrabia Parys! Był krewnym Merkucja.  
Cóż to mi sługa mówił w drodze? Rozpacz  
Tak mną targąła, że ledwie słuchałem.  
Mówił, że Parys miał poślubić Julię?  
Czy tak powiedział? czy mi się to śniło?  
A może obłąd sprawił, że pojąłem  
Wzmiankę o Julii w takim właśnie sensie?  
Niech ci uścisknę dłoń — jesteśmy razem  
Na jednej karcie księgi złego losu!  
Złożę twe ciało we wspaniałym grobie;  
W grobie? nie, raczej w słonecznym pokoju,  
Bo Julia tutaj leży i jej piękność  
Zmienia tę kryptę w przybytek światłości.  
Spocznij tu, zmarły — zmarły cię pochował.

*Składa ciało Parysa w grobowcu.*

Przed egzekucją skazańcom podobno  
Zdarza się chwila euforii; dozorczy  
Zwą taki moment ostatnim przebłyskiem.  
Czyż mogę nazwać przebłyskiem ten mrok?  
Julio najdroższa! Ukochana żono!  
Chociaż śmierć spiła ci z ust miód oddechu,  
Nie zawładnęła jeszcze twą urodą.  
Nie, nie poddałaś się. Rumieniec życia  
Przetrwał jak sztandar na tej ślicznej twarzy:  
Nie widać białej chorągwi martwoty.  
A ty, Tybalcie, pod krwawym całunem:  
Czyż mogę oddać ci większą przysługę  
Niż zmusić rękę, która cię zabiła,  
Do uśmiercenia twojego zabójcy?

Przebacz mi, bracie! Julio, czemu jesteś,  
 Wciąż jeszcze taka piękna? Czy to znaczy,  
 Że bezcielesna Śmierć jest także zdolna  
 Do żądz, że ten wygłodzony potwór  
 Trzyma cię w mroku, aby siłą posiąść?  
 Chociażby po to, by temu zapobiec,  
 Spocznę przy tobie na posłaniu nocy  
 I już się stąd nie ruszę. Tak, zostanę  
 Tu, gdzie robactwo mamy na posługi;  
 Tu, w tej sypialni znajdę odpoczynek,  
 Ze znużonego światem ciała zrzucę  
 Przygniatające brzemię wrogich gwiazd.  
 Po raz ostatni spójrzcie na nią, oczy;  
 Ramiona, weźcie ją w ostatni uścisk;  
 Usta, w ostatnim tchnieniu pocałunek  
 Złóżcie jak pieczęć na bezterminowej  
 Umowie z chciwą i bezwzględną Śmiercią!  
 Prowadź, trucizno, gorzki przewodniku,  
 Zgubny pilocie — roztrzaskaj o skały  
 Sztormami nieszczęść skolatany okręt!  
 Piję za miłość!

*Wypija truciznę.*

Aptekarz nie skłamał:  
 Jad działa. Jeszcze jeden pocałunek:  
 Umieram.

*Pada. Wchodzi Ojciec Laurenty z latarnią, łomem i łopatą.*

OJCIEC LAURENTY

Święty Franciszku, pomóż starym nogom!  
 Wciąż się potykam o groby! A kto to?

BALTAZAR

Przyjacielu, ojczu; dobry twój znajomy.

OJCIEC LAURENTY

Bóg z tobą, bracie. Powiedz no, kochany,  
 Co za pochodnia świeci po próżnicy

Czerwiom i ślepym czaszkom w tym grobowcu?  
Czyż nie jest to grobowiec Capulettich?

BALTAZAR

On właśnie. Jest tam w tej chwili mój pan  
A twój przyjaciel, ojczy.

OJCIEC LAURENTY

Kto?

BALTAZAR

Romeo.

OJCIEC LAURENTY

Romeo? Dawno tam jest?

BALTAZAR

Z pół godziny.

OJCIEC LAURENTY

Wejdz ze mną do grobowca.

BALTAZAR

Nie śmiem, ojczy;

Pan nie wie o tym, że wciąż tutaj jestem:  
Pod groźbą śmierci przykazał mi odejść  
I nie podglądać.

OJCIEC LAURENTY

Zostań więc; sam pójdę.  
Strach mnie ogarnia. Coś złego się święci.

BALTAZAR

Kiedy zdrzemnąłem się — tu, pod tym cisem —  
Przyśniło mi się, że był pojedynek  
I że pan zabił w nim kogoś.

Julia:

Co trzymasz miły w zaciśniętej dłoni?  
Ach, więc trucizna jest winna twojej śmierci?

ROMEO I JULIA

Niedobry, wszystko wypijeś, a dla mnie  
Ani kropelki, abym mogła pójść  
Za tobą? Daj mi choć usta — spróbuję  
Scałować z nich truciznę; to nas złączy:  
Ten pocałunek i ta wspólna śmierć.

*Całuje Romea.*

Usta masz jeszcze ciepłe...

DOWÓDCA STRAŻY *za sceną*

Prowadź, chłopcze;

Którędy?

JULIA

Idą? Trzeba się pośpieszyć;  
Sztylet mi w tym pomoże.

*Chwyta sztylet Romea.*

~~Niech rdzewieje  
Od krwi, nie będzie mi więcej potrzebny.~~

*Przebija się sztyletem i pada. Wchodzą Strażnicy, prowadzeni przez Pazię Parysa.*

PAŻ

To ten grobowiec — o, tam, gdzie się świeci.

DOWÓDCA STRAŻY

Są ślady krwi. Przeszukać zaraz cmentarz:  
Kogo spotkacie, aresztujcie. Biegiem!

*Część Strażników wychodzi.*

~~Straszliwy widok! Tu hrabia zabity,  
Tu Julia, cała we krwi, jeszcze ciepła —  
Przed chwilą zmarła, chociaż pogrzebana  
W tym grobie od dwóch dni. Zawiadom Księcia;  
Ty sprowadź Capulettich; ty Montecchich;  
Reszta niech idzie przeszukiwać cmentarz.~~

*Wychodzi reszta Strażników.*



Widzimy grunt, na którym leżą zwłoki,  
Ale prawdziwe podłoże ich śmierci  
Poznamy, kiedy dowiemy się więcej.

*Wchodzi paru Strażników, prowadząc Baltazara.*

PIERWSZY STRAŻNIK

Sługa Romea: kręcił się w pobliżu.

DOWÓDCA STRAŻY

Trzymać go, póki Księżę się nie zjawi.

*Wchodzi Ojciec Laurenty, prowadzony przez innego Strażnika.*

DRUGI STRAŻNIK

Mamy tu mnicha: trzęsie się i płacze;  
Próbował wymknąć się bokiem z cmentarza;  
Przy sobie miał tę łopatę i łom.

DOWÓDCA STRAŻY

To mocno podejrzane. Trzymać ptaszka.

*Wchodzi Księżę z orszakiem.*

KSIAŻĘ

Cóż za nieszczęście zrywa się tak wcześnie  
I sen zakłóca nam jeszcze przed świtem?

*Wchodzi Capuletti z Panią Capuletti i innymi.*

CAPULETTI

Co to się dzieje? O czym wszyscy krzyczą?

PANI CAPULETTI

Tłum po ulicach wykrzykuje: „Julia!”,  
„Romeo!”, „Parys!”, i wszyscy wzburzeni  
Ciągną tu, w stronę naszego grobowca.

KSIAŻĘ

Co ma oznaczać ten zamęt i wrzawa?

DOWÓDCA STRAŻY

Książę, tu oto leży hrabia Parys,  
Zabity; oto nieżywy Romeo;  
A oto zmarła po raz drugi Julia.

KSIĄŻĘ

Szukać, i śledzić, i badać, jak doszło  
Do zbrodni!

DOWÓDCA STRAŻY

Mamy tu sługę Romea  
I zakonnika; gdyśmy ich pojмали,  
Nieśli narzędzia — można po nich sądzić,  
Że się włamali do krypty.

CAPULETTI

O nieba!  
Żono, spójrz — nasza córka cała w krwi!  
Zbłąkany sztylet pomylił kierunki:  
Zamiast pozostać u boku Romea,  
Znalazł się w sercu Julii.

PANI CAPULETTI

Och, ten widok  
Ogłusza mnie jak pogrzebowy dzwon,  
Który mnie samą przyzywa do grobu.

*Wchodzi Montecchi z innymi.*

KSIĄŻĘ

Zbliź się, Montecchi; zerwałeś się wcześniej,  
Lecz wcześniej zaszło słońce twoich oczu:  
Syn twój nie żyje.

MONTECCHI

Biada, jednej nocy  
Straciłem jego i zarazem żonę!  
Zmarła z tęsknoty za wygnanym synem.  
Jakiż cios jeszcze czeka mnie na starość?

KSIĄŻĘ

Tylko czas może na to odpowiedzieć.

MONTECCHI

Niedobry synu! Tak szanujesz ojca?  
Wchodzisz do grobu pierwszy, przed starszymi?

KSIĄŻĘ

Uciszcie krzyki i skargi na chwilę.  
Trzeba usunąć wszelkie niejasności,  
Ustalić źródło i przebieg tragedii.  
Dopiero potem zapłaczę wraz z wami,  
Choćbyśmy z żalu wszyscy mieli skonać.  
Tymczasem niechaj cierpliwość poskromi  
Cierpienie. Przesłuchajmy podejrzanych.

OJCIEC LAURENTY

Choć najmniej zdolny do tej zbrodni, jestem  
Najbardziej obciążony poszlakami:  
Staję tu po to, aby się oczyścić,  
Lecz i oskarżyć; jestem godzien kary  
W tej samej mierze jak uniewinnienia.

KSIĄŻĘ

Powiedz od razu, co wiesz o tej sprawie.

OJCIEC LAURENTY

Opowiem zwięźle: na pełną relację  
Może nie starczyć mi życia. Romeo,  
Który tu leży, był małżonkiem Julii,  
A Julia była jego wierną żoną.  
Ja udzieliłem im ślubu, a dzień  
Sekretnej ceremonii był zarazem  
Datą zabójstwa młodego Tybalta,  
Które wyгнаło nowożeńca z miasta;  
To nad wygnanym mężem tak płakała  
Julia, a nie nad poległym kuzynem.  
Aby ukoić jej smutek, rodzice

Zmusili Julię do zaręczyn z hrabią  
Parysem. Ślub miał nastąpić niebawem.  
Wzburzona Julia odwiedza mnie, błaga  
O znalezienie wyjścia z tej opresji,  
Mówi, że jeśli nie oddalę groźby  
Drugiego ślubu, w mojej własnej celi  
Odbierze sobie życie. Wiedząc sporo  
O właściwościach ziół, wpadłem na pomysł,  
By dać jej wywar, który Julię uspi  
Na czas czterdziestu dwóch godzin, a innych  
Przekona, że umarła. Tak się stało.  
Tymczasem piszę do Romea, aby  
Przybył, gdy wywar przestanie już działać —  
To znaczy właśnie dziś, tej strasznej nocy —  
I pomógł Julię wydostać z grobowca.  
Lecz brat Jan, który miał zawieźć ten list,  
Nie mógł przez cały dzień ruszyć się z miasta  
I list mi zwrócił dopiero wieczorem.  
Sam zatem, w nocy, w porze, kiedy Julia  
Miała się zbudzić, zjawiłem się tutaj:  
Chciałem wydostać ją z krypty i ukryć  
W klasztorze, aż się nadarzy okazja,  
Aby po cichu sprowadzić Romea.  
Niestety, kiedy przyszedłem, na parę  
Chwil przed ocknięciem się Julii, w grobowcu  
Leżeli Parys i Romeo — martwi.  
Julia się budzi; próbuję ją skłonić,  
Aby się ze mną prędko oddaliła  
I pogodziła z wyrokami niebios;  
Ale, spłoszony hałasem, uciekam,  
A ona, głucha na moje namowy,  
W rozpaczy sięga — jak widzę — po sztylet.  
Oto i wszystko, co wiem. O małżeństwie  
Zaświadczy Marta, piastunka umarłej.  
Jeśli w czymkolwiek zawiniłem, niechaj  
Na starą głowę, i tak bliską śmierci,  
Opadnie ciężki miecz sprawiedliwości.

KSIĄŻĘ

Znamy cię jako świętego człowieka.  
Co może zeznać służący Romea?

BALTAZAR

Przywiozłem panu do Mantui wieść  
O śmierci żony; wtedy pierwszą pocztą  
Przyjechał tutaj i przyszedł na cmentarz,  
Pod ten grobowiec. Zanim wszedł do środka,  
Wręczył mi list dla ojca i zagroził  
Śmiercią, jeżeli zaraz nie odejdę.

KSIĄŻĘ

Daj nam ten list. Musimy go obejrzeć.  
Gdzie paż hrabiego, ten, co podniósł alarm?  
Powiedz mi, chłopcze, co twój pan tu robił?

PAŻ

Przyszedł z kwiatami na grób narzeczonej;  
Kazał mi odejść, więc stanąłem z boku.  
Wtedy ktoś nagle zjawia się z pochodnią  
I chce otworzyć grób. Na to mój pan  
Wyciąga rapier, żeby mu przeszkodzić —  
Więc polecałem zawołać strażników.

KSIĄŻĘ

List ten potwierdza słowa zakonnika:  
Romeo pisze, jak się pokochali  
I jak posłyszał wieść o śmierci żony;  
Wspomina także, że kupił truciznę  
U ubogiego aptekarza, pragnąc  
Zażyć ją w krypcie i spocząć przy Julii.  
I gdzież są ci wrogowie? Capuletti,  
Montecchi, spójrzcie, jaka plaga spada  
Na wasze domy; karą za nienawiść  
Jest to, że niebo zabija wam dzieci  
Miłością. Ja zaś straciłem dwóch krewnych  
Za pobłażanie waszym waśniom. Kara  
Dotyka wszystkich.

CAPULETTI

Montecchi, mój bracie,  
Daj dłoń — tym gestem sprawisz ślubny prezent  
Biednej mej córce. Tylko o to proszę.

MONTECCHI

Dostaniesz więcej: ślubuję, że Julii  
Postawię pomnik ze szczerego złota.  
Jej wierną miłość ten posąg uświęci  
I Julia przetrwa w pokoleń pamięci,  
Dopóki będzie istniała Werona.

CAPULETTI

Postać Romea, w złocie uwieczniona,  
Stanie przy Julii. Nieszczęsne ofiary  
Wrogości, w której nie znaleźmy miary!

KSIĄŻĘ

Świt zgody wstaje nad nocą rozpaczy,  
Choć słońce twarzy zza chmur nie wychyli.  
Jednych ukarze się, innym wybaczy,  
Lecz ludzie wieki się będą smucili,  
Z ust do ust niosąc w cztery świata strony  
Historię dwojga kochanków z Werony.

*Wychodzą wszyscy.*

**KONIEC**

